

BOGDAN PYRZ

ur. 1932; Piaski



Miejsce i czas wydarzeń	Szczecin, Świdnik, PRL
Słowa kluczowe	Zamość ; Szczecin ; Piaski ; Świdnik ; sytuacja w Polsce po II wojnie światowej ; odbudowa Polski ; edukacja ; szkolnictwo ; studia ; studia inżynierskie ; Politechnika Szczecińska ; Szkoła Inżynierska w Szczecinie ; Katedra Mechaniki i Podstaw Konstrukcji Maszyn ; pomoc socjalna dla studentów ; warunki mieszkaniowe w akademikach ; Stocznia Szczecin ; Stocznia Gdynia ; praca w stoczni w Gdyni ; praca w stoczni w Szczecinie ; praca w stoczni ; praktyki studenckie ; Przedsiębiorstwo Demontażu Wraków w Gdyni ; pancernik Gneisenau ; prace przy demontażu wraków ; wykładowcy Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie ; codzienność w PRL ; realia PRL-u ; realia pracownicze ; praca zawodowa ; warunki pracy ; problem alkoholu w zakładzie pracy ; warunki mieszkaniowe w PRL ; mieszkanie w PRL ; nakaz pracy ; WSK Świdnik ; Wydział Motocyklowy w WSK Świdnik ; praca przy taśmie produkcyjnej ; praca inżyniera ; Zakłady Mięsne w Zamościu ; eksport towarów do RFN ; odwilż 1956 ; strajki ; strajki pracownicze ; marsz 1 maja ; płace pracownicze ; służba wojskowa w PRL-u ; służba wojskowa ; życie towarzyskie ; życie codzienne ; Wendeker, Kamil ; Wnuk, Jacek (1931-)

1. Szczecin, drugi koniec Polski

Jest rok 1951, zdaję maturę. W międzyczasie prowadziłem korespondencje z kolegami, którzy o rok wcześniej wyemigrowali w Polskę na studia. Oczywiście mnie interesowały tylko studia techniczne, bo z tych przedmiotów ścisłych stałem dość dobrze. Miałem możliwości nawet zacząć się w Warszawie, ale Warszawa była wtedy przecież nieodbudowana i jak mi opowiadali, jak oni tam studiują i jak muszą po całej Warszawie jeździć tramwajami, żeby z wykładu na wykład zdążyć, jak wyglądają akademiki, to była straszna rzecz. Natomiast koledzy ze Szczecina pisali o tym, że miasto jest jeszcze mało zasiedlone, bo tak to było, ale natomiast uczelnia i akademiki są dosłownie pod nosem, [odległe od siebie] o kilka kroków. To była stara, jeszcze niemiecka szkoła techniczna, potem przejęła to politechnika, wtedy jeszcze Wyższa Szkoła Inżynierska. Bardzo blisko były koszary ponemieckie i tam zlokalizowano akademiki. I to były akademiki dla wszystkich uczelni, jakie w tym

czasie były w Szczecinie. Czyli to była Wyższa Szkoła Inżynierska, Akademia Medyczna i Wyższa Szkoła Ekonomiczna. Rzeczywiście myśmy mieli to pod nosem, szło się piechotką tylko kilka kroków ze stołówki do akademika.

I dlatego ja zdecydowałem się jechać w drugi koniec Polski. A pociągiem jechało się osiemnaście godzin, przez Łódź, bo wtedy nie było połączenia przez Warszawę. Oczywiście, że to wszystko było jeszcze niepołączone, to wszystko było za świeże. Przecież tam jeszcze niedawno była Rzesza, przecież to były dwa różne państwa. Tym bardziej, że to był okres, kiedy jeszcze nie prowadziło się inwestycji na Ziemiach Zachodnich, bo one były niepewne. Nazywaliśmy je Ziemie Odzyskane, ale one były niepewne, nawet granice zachodnie były tak oznakowane, że Niemcy szydzili, że to są tymczasowe granice.

W związku z tym rzeczywiście pojechałem najdalej od domu, jak to tylko możliwe, daleko od mamy, od taty. Wolność! Wtedy Szczecin był piękny z daleka. Jak się wjeżdżało do Szczecina widziało się samą tylko zieleń, dużo zieleni. Tam były szerokie aleje wysadzone starymi drzewami, ale jak się wjechało głębiej, to duża część miasta była w ruinach. Społeczeństwo było różne, wszyscy prawie byli napływowi, choć jeszcze nie wszyscy Niemcy byli wysiedleni, byli w trakcie wyjazdów, powoli się przenosili. Były pewne dzielnice, gdzie jeszcze mieszkali Niemcy, autochtoni, jak myśmy ich nazywali. Ale była też taka światowa szumowina, bo to, wiadomo, portowe miasto. Przyjeżdżali ludzie o różnych kolorach skóry.

Przypominam sobie taki obrazek, jak gdzieś nad kanałem siedzi sobie pijany murzyn, pewnie ze statku jakiegoś handlowego. A kupę ludzi stoi nad nim i go ogląda tak, jak małpę w zoo. A najlepiej to kobiety, chcą go pogłaskać po głowie, tak, jak zwierzątko by się pogłaskało. Tak to było, te pierwsze spotkania z tym wielkim światem. Społeczeństwo nie było ustabilizowane. Jechało tam kupę ludzi, którzy już chcieli coś zrobić, dużo było młodzieży akademickiej, a z drugiej strony byli ludzie, którzy bardzo często uciekali z takich, czy innych względów –czasem z biedy, a czasem, dlatego, że tu coś na broili, czy w czasie okupacji, czy w ogóle nie byli w zgodzie z prawem, a tam mogli się trochę zgubić, bo w tym czasie nawet jeszcze nie wszyscy mieli dowody.

Korzystając z tej wolności, chodziło się w soboty na takie potańcówki, najczęściej [organizowane] gdzieś w świetlicach przy zakładach pracy, czy przy jakichś instytucjach, które bardzo często kończyły się strzelaniną. Tak. Bo jak się to towarzystwo popiło to potem wojsko walczyło z policją, policja walczyła z WOP-em, a do tego jeszcze byli jacyś cywile. Pamiętam, że raz skryłem się i leżałem za takim bufetem, a tu facet przyleciał z bronią, stanął nade mną, mówi: „Nie, to nie ten” i poleciał dalej. Ale jakby był „ten” to może by i strzelił. To był pierwszy rok [studiów] i gdzie by tam człowiek nie spojrział, to i w najgorszych miejscach studenta zawsze spotkał. Student wszędzie dotarł. Ale tak właśnie poznawaliśmy i zaznajamialiśmy się z tym wolnym światem.

2. Organizacja studiów

Natomiast, jeśli chodzi o studia, to była taka trochę szkółka. Było osiem godzin wykładów, potem obiad i cztery godziny zajęć po południu. Tak było na pierwszym i na drugim roku. Rzeczywiście, poza nauką człowiek nie miał na nic innego czasu. I dlatego ta kadra była potrzebna i ta intensywność nauczania była naprawdę dobra. Ale wiem, że, powiedzmy, siedemdziesiąt procent ludzi miało zapał do roboty, to znaczy chciało jak najszybciej zdobyć tytuł inżyniera, zawód inżyniera. Już człowiek sobie w myślach marzył, jak to będzie. Myśmy się nie załamywali, pomimo tego, że jedzenie było słabe, bo były takie okresy, że w stołówce dawali nam tylko bukiety jarzynowe, jak myśmy to nazywali, bo mięsa nie było, tylko buraczki, marchewki, kartofle. Ale myśmy byli młodzi, pełni życia i rzeczywiście chcieliśmy jak najszybciej coś w życiu zdobyć. Wielu ludzi było takich.

I była zmiana z dnia na dzień, coś się budowało, cieszyło nas chociażby to, że zaczęli uporządkowywać gruzy w Szczecinie i siać trawniki, bo więcej inwestycji żadnych wtedy nie było. Gruzy znikwały, pojawiały się trawniki, było ładniej. To to nas cieszyło. Jeżeli chodzi o poziom nauczania, to różnie było. Bo byli na przykład profesorowie, którzy [przed wojną byli] asystentami na politechnice lwowskiej, także profesorowie z politechniki gdańskiej. A [politechniki] warszawska i gdańska były uznawane w tym czasie w Europie, innych nie traktowano jako szkoły wyższe. Oczywiście byli także ludzie, którzy nie byli dobrze przygotowani do zawodu. Tacy byli najgorsi, bo wymagali więcej niż tamci, a nie umieli nauczyć. Wielu ludzi po prostu nie zdawało egzaminów i odchodziło, a dyscyplina była duża. Na pierwszym roku nie było powtarzania, jeżeli ktoś odpadał, to już odpadał. Prowadzone były też takie studia przygotowawcze dla młodzieży, która nie miała matury, ale jakoś tam się wybijała, a przede wszystkim miała dużo chęci. To byli najczęściej robotnicy z zakładów pracy. Mniej rolników, przede wszystkim ludzie z przemysłu. Dużo kierowców, bo kierowcy zawsze byli bardziej inteligentni, niż zwykły robotnik. Więc i oni mieli dwuletnie studia przygotowawcze bez matury i mieli potem wstęp bez egzaminu na wyższe uczelnie.

I było tak, że jak ja zdawałem, to były dwa wydziały, jeżeli chodzi o studia mechaniczne i na stu dwudziestu przyjmowanych na pierwszy rok, osiemdziesięciu było po tym studium przygotowawczym. Czyli blokowali osiemdziesiąt miejsc, to znaczy ponad sześćdziesiąt procent, ludziom po maturze. To było katastrofalna sprawa, tym bardziej, że do końca studiów zostało z nich tylko może dziesięć, może piętnaście procent. Poodpadali, bo byli nieprzygotowani. Bardzo duży odsiew był zaraz na pierwszym roku, bo oni sobie nie dawali rady z matematyką, z fizyką. Może potem już z warsztatem, z pracą lepiej by sobie radzili, ale żeby zrozumieć tę matematykę wyższą, to trzeba mieć opanowane podstawy. A im nawet ta zwykła, ale skomplikowana matematyka robiła duże trudności. I bardzo duża ilość odpadała. A co ważne, oblewali ci profesorowie, którzy sami nie byli dobrze przygotowani.

3. Profesorowie Szkoły Inżynierskiej w Szczecińskiej

Był taki profesor, który był podobno asystentem na Politechnice Lwowskiej. Stary kawaler, bardzo inteligentny gość, bardzo przystojny, miał wygląd jak gdyby człowieka wschodu, brodę taką dużą. Mieszkał w pomieszczeniu za katedrą, tam miał swój pokój. Miał tylko dużego psa i to była cała jego rodzina. Nazywał się Wendeker, tak z niemiecka. Świetny, świetny wykładowca. Wykładał wytrzymałości materiałów, bardzo dobrze nawiązywał kontakt ze studentami. Był takim autorytetem. Ci słabsi wykładowcy zawsze pytali, ilu to [studentów] pan profesor Wendeker oblał, bo każdy z nich się bał oblać więcej, niż pan profesor Wendeker. A pan profesor Wendeker obcinał, bo jemu się tak podobało i nie było dyskusji. On się ni Boga, ni partii nie bał. Był takim przedwojennym profesorem.

Natomiast inni bali się, bo partia i ZMP dbały o to, żeby studentów dużo nie oblewało. Więc każdy się bał przeskoczyć Wendekera. Takie to były czasy. Przyjeżdżał też do nas starszy pan, profesor z Politechniki Gdańskiej, który wykładał metaloznawstwo. Przedwojenny profesor. Zresztą chyba kiedyś dyrektor jakiegoś poważnego zakładu metalurgicznego. Twierdził, czy twierdzili o nim, że wymyślił jakiś rodzaj stali, którą to stal Niemcy potem używali na opancerzenie Tygrysów, tych swoich czołgów. Bo cały dowcip w metalurgii polega na tym, że jeżeli się dobrze połączy takie, czy inne pierwiastki, to wychodzi z tego taki, czy inny metal, bo przecież to są wszystko stopy. I pamiętam taką sytuację. Sale wykładowe były bardzo ciasne, katedra była prawie przy pierwszych ławkach studentów. Bardzo często trzeba było się dosiadać, półgębkiem człowiek siedział na jakimś kawałku stołu, żeby się w ogóle zmieścić i jakieś notatki prowadzić. I była tam mównica. Ona była chyba używana wtedy, jak były te zebrania polityczne, może wtedy ktoś z tej mównicy coś mówił. Wyglądała trochę, jak klęcznik, ale miała siedzisko i pulpit. I jeden z kolegów, on się chyba trochę spóźnił i nie miał gdzie usiąść, siadł w tej mównicy. A ona stała tak bokiem do profesora. Pan profesor Sieniawski przyszedł, popatrzył na salę, zbladł i wyszedł z wykładu. Co się stało? Czy zasnął, czy co? A myśmy go bardzo szanowali. Przybiegł dziekan, jeden właśnie z tych nowych, partyjnych, i krzyczy na nas, że myśmy pana profesora obrazili. Od słowa do słowa okazało się, że pana profesora obraziło to, że ten student siedział [do niego] tyłem. My byśmy nigdy na to nie wpadli. Oczywiście składaliśmy się na kwiaty, wysłaliśmy delegację do profesora, żeby go przeprosić. Wrócił błądy, usta zsiniały takie, bo to już był staruszek. Powiedział, że to było nie do pomyślenia kiedyś, ale widać musi się też do pewnych rzeczy przyzwyczaić, bo inaczej nie da się żyć. Czyli on nam nie przebaczył, dla niego to była rzeczywiście jakaś duża obraza, tylko doszedł do wniosku, że teraz taka młodzież jest, która nie rozumie, że nie można tak [się zachowywać]. To nie było lekceważenie z naszej strony, myśmy go bardzo szanowali, ale on tak to to odebrał. A winne były po pierwsze złe warunki, ciasnota - to by się nigdy nie stało. Ale czy on miał też rację obrażając się na nas za to? Nie wiem.

4. Koledzy ze studiów –różne środowiska, różni ludzie, spóźnione roczniki

Koledzy też byli dziwni, byli z całej Polski, ale było też dużo takich, którzy przyjechali z Francji. Wtedy Gierek sprowadził górników na Śląsku, bo on był sam górnikiem we Francji i on sprowadził wiele rodzin tych Polaków gwarantując im tu na Śląsku pracę, mieszkanie i tak dalej. I sporo było tych Francuzów. Oni mówili po polsku, trochę kaleczyli, ale też troszkę byli z innego świata. Było sporo ludzi, którzy wrócili z Dalekiego Wschodu. Nieraz były kłótnie o to, kto więcej przeżył za okupacji. Mówili, że myśmy za okupacji nie przeżywali takiego głodu, jak oni. Rzeczywiście oni potężny głód cierpieli, ale myśmy [opowiadali], że przynajmniej to mieli, że nikt ich bez sądu nie mógł na ulicy zastrzelić.

A takie były sytuacje przecież były, ja sam je widziałem, byłem świadkiem. A tam na wschodzie, jaki tam ten sąd był, to był, ale był. I to były takie kłótnie, tak prześcigaliśmy, kto dostał, więcej po siedzeniu. Miałem takiego kolegę, Antosia. Poleszuka. Przed wojną śmialiśmy się z Poleszuków, że oni jak wejdą na lipę boso, to schodzą w butach. Poleszucy umieli pleść takie ciapy na lato. Z lipy strugali takie jak gdyby wióry, łupali na takie wąskie pasy i pletli z tego. I on to umiał robić, obiecał mi, ale całe studia zeszyły, a on mi tych ciapów nie uplótł. Zawsze braliśmy ze stołówki kromki chleba, bo chleb to jeszcze był, więc się brało trochę na kolację. Idziemy kiedyś do teatru, ja patrzę, a on upycha kromki chleba za pas, za pazuchę, w kieszeń garnituru, który tam jedyny miał. [Pytam], co robi? On tak spojrzał na mnie i mówi, że jak nie ma ze dwóch kromek chleba przy sobie, to się boi, że go głód napadnie. Tyle lat już po okupacji, po tym głodzie, a on to w sobie jeszcze miał. I w pewnym momencie on sobie w teatrze skubał ten chleb. Czyli musiał naprawdę przechodzić potężny głód, że tak się zachowywał, prawie jak pierwotny człowiek. Że to zostało w jego psychice –studenta, który już był świadomy, który niedługo już miał być kimś na stanowisku. To były naprawdę różne środowiska, różni ludzie –żonaci, po wojsku, różne spóźnione roczniki. Ludzie z całej Polski. Mówili do mnie: „Bogdan, nie śpiewaj, nie śpiewaj” Bo rzeczywiście tam było dużo poznaniaków, ich poznański akcent był taki twardy, taki niemiecki. I oni twierdzili, że my ze wschodu śpiewamy, że [mamy] taki śpiewny akcent.

5. Czas wolny na studiach

Pierwsze okresy to była rzeczywiście prawie tylko wyczerpująca praca i nauka. I tenże profesor Wendeker któregoś dnia w czasie wykładu technicznego ni z tego, ni z owego spojrzał po sali i zapytał tak: „A drodzy panowie, przyszli inżynierowie, kto z was przeczytał jakąś książkę beletrystyczną? Proszę państwa, inżynier to nie tylko musi się znać na technice. Jeżeli nie będziecie mieli ogólnej ogłady, ogólnych wiadomości, właściwego obycia, to nie będą z was inżynierowie” Wendeker nas o beletrystykę pyta? I ten język. Takim językiem nikt do nas nie mówił w tym czasie. Nam kazali tylko pracować i zdobywać zawód jak najszybciej. Ale on miał autorytet, wszyscy rzucili się do bibliotek i zaczęli czytać.

Właśnie wtedy zaczęliśmy też chodzić do teatru. Zaczęliśmy rzeczywiście doceniać inne rzeczy, że nie tylko sama nauka musi nam wystarczyć do życia. Tak to się zaczęło. Czasem słowa jakiegoś człowieka robią w nas pewien taki przełom. Może potem coś innego jeszcze by się zdarzyło, ale rzeczywiście na początku byliśmy zajęci tylko nauką. Na kolejnych latach [red. studiów] już było trochę więcej czasu. I sportu. Bo ja byłem sportowcem, a sport był taki dostępny. Biedny, bo biedny, ale dostępny. Wtedy to było obojętnie, kto jakie miał buty, jakie spodnie. W czym człowiek miał, to grał. Graliśmy dużo w siatkówkę, mniej może w piłkę nożną, bo nie było takich warunków, ale też w kosza, bardzo dużo w ping-ponga. Stoły pingpongowe bardzo często były w świetlicy, prawie w każdej były stół pingpongowy. I tak się toczyło to akademickie życie. Były też wieczorki taneczne. Najgorsza sprawa, że była posucha w kobietach. Na naszych wydziałach technicznych były dwie kobiety, może trzy. Ale z tych trzech by nie zrobił jednej dobrej. Na chemii były ładne dziewczyny, ale ich było tak mało, że jak była potańcówka, to każda dziewczyna miała powodzenie, kolejki się ustawiały, żeby z nią zatańczyć, bo chłopców było dużo. Co dziwne, bo przecież po wojnie powinno być odwrotnie.

6. Życie studenckie

Były cztery wydziały. Wydział mechaniczny, czyli Wydział Budowy Maszyn, bo tak się nazywał, wydział elektryczny wysokich i niskich prądów. Był wydział budowlany, było budownictwo lądowe i morskie. I była architektura. Architekturę potem znieśli już chyba pod koniec moich studiów. Miałem takiego kolegę architekta, był wspaniały w papieroplastyce. Z białego kartonu wycinał i odpowiednio wyginał takie różne rzeczy. Ale studenci mają bardzo dziwne pomysły, bardzo dziwne. On wymyślił i nawet miał cennik płucia z okna w jego pokoju na dół, gdzie chodzili ludzie. Najdroższe było napłucie na głowę łysego faceta. Stała skarbonka i według tego cennika trzeba mu było płacić. To był taki rytuał, żeby pójść do niego i pluć.

Byliśmy biedni, ale pod koniec roku, jak się już wszyscy rozjeżdżali na wakacje, to pijało się te wina za kilkanaście złotych. Słabe, ale tanie. Ale co gorsza, ktoś wprowadził taki zwyczaj, że po wypiciu tych win butelki rzucaliśmy przez okno. Na drugi dzień tyle było szkła na chodnikach pod akademikiem, że ludzie przechodzili na drugą stronę, bo nie można było przejść. Aż gazety szczecińskie [pisały], że to chuligaństwo, że jak to młodzież studencka się zachowuje, a pieniądze państwowe idą na nich, zaczęto grzmieć na nas na wszystkie możliwe sposoby. I profesorowie i inni notable. Troszkę niby się uspokoiło, ale pamiętam, że taki wieczór, wszyscy to wino piją i nasłuchują. W pewnym momencie jakaś jedna butelka poleciała. Za chwilę druga, trzecia, czwarta i znowu poszło wszystko. Wiedzieliśmy, że źle robimy i każdy z nas może trochę i bał się, bo to rzeczywiście opinia publiczna, ale korciło, żeby jednak tę butelkę wyrzucić.

Potem jakoś samoistnie to ustało, przestaliśmy tak głupie rzeczy robić. [W akademiku] mieliśmy kuchenki i różne naczynia. Kolega miał taki kociolatek

aluminiowy, harcerski tośmy tam wszystko gotowali, co się dało. I kawę i herbatę i zupę i budyń. Ale miałem też takich kolegów, którzy sobie kupili blaszany, bo wtedy innych nie było, nocnik. No, naczynie, jak każde. Emaliowane, z rączką, dające się tak samo postawić na gazie, żeby coś ugotować. Mieli taki pokój z balkonem wychodzącym na ulicę, którą ludzie rano szli do pracy. Taki mieli zwyczaj, że gotowali sobie taką słomkową herbatkę, wychodzili w koszulach nocnych na ten balkon, pili z tego nocnika tę herbatkę, a resztę wylewali. To była tylko herbata, ale ludzie klęli. To były takie studenckie psikusy, ale i gorsze rzeczy się jeszcze robiło. Tak się wtedy żyło.

Była pomoc socjalna. Choćby taka, że dostawało się stypendium. Na ogół dawali pełne stypendium, chyba, że już się bardzo źle stopnie otrzymywało, to wtedy chyba stypendium częściowo zabierali, czy dawali niepełne. Nie pamiętam, czy to po tej ostatniej wymianie [pieniędzy] było trzysta złotych, ale w każdym bądź razie stypendium wystarczało na wykupienie sobie akademika, wykupienie sobie wyżywienia, na papierosy i na jakieś drobne kosmetyczne sprawy. Można było za to wyżyć, jeżeli się w pierwszych dniach nie przehulało. Obiady się wykupywało. Był bar mleczny, ale też stołowanie w tym barze mlecznym to była bułeczka z masłem i serem i mleko gorące, czy kasza gryczana. Jeszcze można było coś kombinować na tym chlebie ze stołówki. Albo pójść do stoczni pracować na noc. Na noc, bo rano trzeba było pójść na wykłady.

Była dyscyplina i na wykładach trzeba było koniecznie być. Na wykładach była sprawdzana obecność, a za nieobecność były różne konsekwencje, naciski takie, czy inne, straszenia egzaminem. Więc, jeżeli chodzi o studia, to dyscyplina była duża można powiedzieć, że to była taka szkółka. I to na wszystkich wydziałach bez wyjątku. Dopiero później zaczęły się takie, jak to mówią, „prawdziwe studia” że można było dziesięć lat studiować. Ale za to wtedy, jeżeli ktoś chciał się uczyć, to rzeczywiście każdy miał możliwości. Po pierwsze wszyscy byli biedni i nikt nikomu nie imponował. Nikt samochodem nie przyjeżdżał na uczelnię. Samochód miał jeden profesor i to też jakiś przedwojenny model, ale jak podjeżdżał, to była atrakcja duża. Nikt nie miał jakichś wymagań dodatkowych. Chodziło się w jednych portkach cały rok. Nie było takiej konkurencji, żeby zazdrościć drugiemu, bo on też nic nie miał. Nie było ludzi bogatych i biednych, tylko wszyscy byli biedni. Ale kto wie, czy nie szczęśliwi, czasem.

7. Praca w stoczni

To była zazwyczaj praca transportowa, polegała na rozładowaniu wagonów. To były albo jakieś towary workowane, albo towary sypkie takie, jak węgiel, kartofle, czy nawet czasem żwir. Był tam taki jak gdyby najemca, to był oczywiście przedstawiciel stoczni, znaczy tych magazynów stoczniowych. Podpisywało się umowę, czyli on dawał do podpisania jakieś papiery i przychodził potem po nocy, po zakończeniu pracy już od razu z pieniędzmi. I znowu podpisywało się jakąś tam listę płac. Nic

człowiek nie sprawdzał, tylko on mówił: „O tu pan podpisz” to się podpisywałem. I jakieś tam grosze żeśmy dostawali. Tak się dorabiało rzeczywiście, jak się przeżułało gdzieś trochę tych pieniędzy.

Jak musiało się pójść gdzieś z dziewczyną, to potem trzeba było dorabiać, bo już [ze stypendium] nie można było żyć. Ale jeżeli się człowiek dobrze gospodarzył, to tych pieniędzy ze stypendium na biedne życie wystarczało. To nie była ciekawa praca, ciekawsza natomiast była na praktykach. Podczas studiów trudno było poznać takie bardziej praktyczne rzeczy. Co i jak dzieje się na zakładach pracy można było się dowiedzieć podczas praktyk. A ja miałem ciekawie, bo pomimo tego, że studiowałem przecież technologię budowy maszyn, to praktyki miałem w stoczniach. Raz w stoczni szczecińskiej, a potem w Gdyni, w Przedsiębiorstwie Demontażu Wraków. Ale najpierw o stoczni szczecińskiej.

Były to praktyki ogólne. Mieliśmy swojego opiekuna, który nas [oprowadzał] po działach produkcyjnych, biurowych. Było się po kilka dni w biurze projektów, w dziale konstrukcyjnym. Czy to one coś dawały poza ogólnym poglądem, co się dzieje [w zakładzie pracy]? Chyba nie, ale może nawet to bardziej nas interesowało, niż same wiadomości techniczne. A, że w przemyśle w PRL-u zawsze były kłopoty z zatrudnieniem, z pracownikami, to w pewnym momencie zaproponowali nam, że gdybyśmy chcieli, to poza praktykami moglibyśmy pracować normalnie na karty pracy. Za tę praktykę dostawaliśmy jakieś grosze, była jakaś stawka, już nie pamiętam, jaka, ale mniejsza chyba niż stypendium. Ale dostawaliśmy za to pieniądze, mogliśmy sobie kupić tam obiady, i jakoś żyć. Natomiast tu zaproponowali nam dodatkowo normalną pracę.

Miałem takiego kolegę, dobrze zbudowany, wyższy ode mnie, fajny chłopak. Z politechniki gdańskiej, co prawda, ale zawsze się w jakiś dziwny sposób spotykaliśmy się na praktykach. I on mówi, że jest nas dwóch, stanowimy brygadę. Spisaliśmy jakąś notatkę i dali nam chyba tylko okulary [ochronne], bo ubrań roboczych to już nie. Teraz nie nituje się ani mostów, ani statków, ale wtedy statki były w osiemdziesięciu procentach nitowane. Była taka seria statków robiona dla Związku Radzieckiego i myśmy mieli wiercić otwory pod nity. To jest kilkucentymetrowa blacha, potężny kadłub. Kadłub tego statku był opasany takimi rusztowaniami co kilka metrów i to były stanowiska pracy. Więc ci fachowcy, którzy umieli spawać, to oni sobie te stanowiska pracy przygotowali, mieli takie podpory różne, żeby wiertarkę mieć, gdzie oprzeć. Myśmy natomiast byli gołowąsy i tego nie umieliśmy. Chcieliśmy też przyspawać sobie takie podpory do wiertarek, bo to były takie ciężkie ręczne wiertarki. Pytam [tego kolegę], czy umie spawać? Mówi, że trochę umie. Spawa, spawa, spawa to wszystko trzaska, iskry lecą. Naspawał taką gałą, ja puknąłem młotkiem, odleciała. Pół dnia spawaliśmy, nic nam nie wychodzi. Musimy te wiertarki ciężkie trzymać w ręku, nie ma, o co oprzeć. Napracowaliśmy się, napocili, a nic żeśmy nie zarobili. Co tu zrobić? Ale on mówi tak: „Masz parę groszy? Ja też mam parę groszy. Kupię pół litra i pójdę do brygadzysty, żeby nam inna robotę

dał” Ja już byłem tak zrezygnowany, że dałem mu [te pieniądze]. Tu słońce świeci, ja na tym kadłubie siedzę, a jego nie ma i nie ma. Dwie godziny go nie było. Przychodzi w końcu, wesolutki, bo już popił. Ja zaczynam go kłaść, że zostawił mnie tu na tym słońcu, a sam przepił ostatnie pieniądze.

A on rzeczywiście dostał inne karty [pracy], te były z kolei na rozwieranie. Czyli po tym, jak ktoś narobił tych otworów wiertarką, to myśmy mieli tylko rozwiercić. A te otwory po tym wierceniu były i tak duże, więc wystarczyło tylko, że się tu włożyło i wyjęło takie narzędzie z rozwiertakiem, to trochę inne narzędzie niż wiertło, i już było zaliczone. Bo jak ten, co odbierał robotę tylko zobaczył, że było liźnięte tym rozwiertakiem to już zaliczał. Rzeczywiście zarobiliśmy coś tam, ale to była nauzka na całe życie. Że są roboty dobre i są roboty złe. I ja z niej korzystałem potem w przyszłości, już jako inżynier nadzoru, czy nawet dyrektor zakładu. Często tak bywa, że jest taka robota, której nikt nie chce ruszyć.

Każdemu daje się polecenie, że ma to zrobić. Niby to robi, a za chwile już robi co innego. I wtedy zawsze to rozwieranie mi się przypominało. To wiercenie było do niczego, bo czas był źle ustawiony. Robota była trudna, a czas krótki. A znowu rozwieranie było jak gdyby wyższą kategorią, jako kończenie takiego ostatecznego otworu. Tu robota była łatwa, a czas długi. Zwieńczeniem tej pracy było wodowanie tego kadłuba na święto 22-go Lipca. Wodowanie to jest piękne zjawisko, pierwszy raz to widziałem. To jest potężna rzecz. Okazuje się, że to jest taka drewniana konstrukcja, budowana pod tym potężnie ciężkim kadłubem, to wszystko przecież waży wiele ton. To jak gdyby drewniane sanie, stojące na korytach, wylane mydłem. Może teraz są jakieś inne metody, ale wtedy to było wylane dość dużą warstwą mydła, ono jest zastygnięte i dość twarde. Te sanie oczywiście są podstemplowane tak, że one nie gniją w tym czasie na to mydło, tylko są przygotowane na ten ostateczny moment. I to wszystko podstemplowane, zaklinowane stoi na pochylni. A jak się potem te kliny podbije, to statek osiada saniami na tych korytach i zjeżdża do wody.

Piękne zjawisko. Tylko ten statek jest tak jakby w stanie surowym, jeszcze nie ma pełnego wyposażenia, nie ma napędu ani silnika, czyli to jest jakby sama tylko skorupa. Ma na pokładzie jakąś prowizoryczną załogę i tylko te najważniejsze rzeczy. Jak jeszcze nie jest w wodzie, tylko na wierzchu, to wtedy już można robić wszystkie roboty takie wykończeniowe, a jak już to jest zrobione, ster i śruby są zamontowane, to można go rzucić na wodę i niech sobie pływa. Były dwie śruby okrętowe w tym statku, miały gdzieś w granicach dwóch metrów średnicy. I to były śruby odlane w duńskich stocznjach, oczywiście cholernie drogie, bo przecież za dolary. Dolary były wtedy świętością u nas. Śruba jest odlana dla tego konkretnego statku i nie ma żadnych części zapasowych. Zamówienie, żeby taką śrubę gdzieś odlali składa się dwa lata wcześniej. Za śrubą idzie ster. Z tym, że ster, jak już jest zmontowany, to ma ograniczniki, a w takim statku jeszcze świeżym, to on, że tak powiem, lata wolno, jest zamontowany, ale jeszcze nie ma ograniczników. Więc musi być w linii prostej w osi

statku mocowany łańcuchami, żeby gdzieś tam się nie wywinął. Oni wtedy też prowizorycznie spawali łańcuchy z dwóch stron, żeby ustalić ster w takiej pozycji. Ale jak to często bywa, przyroda i świat jest złośliwy, figle płata i nie zawsze wszystko idzie tak, jak sobie człowiek wymarzy. A przynajmniej jak coś niedokładnie robi. W każdym bądź razie święto było 22-go Lipca, prawda, tam hucznie obchodzone, orkiestra grała, tu i tam chorągiewki. A byli tam ci radzieccy odbiorcy, bo to dla nich był ten statek [budowany], więc była też specjalna komórka odbiorców radzieckich.

W poniedziałek po święcie przychodzimy do roboty, ale widzę, że tak zaczynając od biura, bo tam żeśmy się najpierw zameldowali, wszyscy mają łby pospuszczane do dołu. Zamiast się cieszyć, bo święto było, wodowany statek, to oni jakoś tak łby pospuszczali. Robotnicy też jakoś tak nie biorą się do roboty, gadają między sobą. Idę ja pod ten statek, a tam tak na tym nabrzeżu siedzi doradca, patrzy tak od tyłu na ten statek i mówi: „Oł, Polaczki, znów spieprzyli sprawę” Okazuje się, że pękł jeden łańcuch od tego steru. Ster tak się odwrócił, że wszedł w śrubę. A śruba, jak wpadnie do wody, zaczyna się obracać, bo napór wody ją [red. obraca]. I ona tak zaczęła zaczepiać o ten odwrócony ster, że w skrzydełkach tej śruby porobiły się wyrwy większe niż dłoń. Śruby są z mosiądzu, zamawiane indywidualnie do każdego statku na sztuki. Nasi proponowali, żeby może te wyrwy zaspawać mosiądzem, ale Rosjanie się nie chcieli na to zgodzić. Chcieli śruby nowe, oryginalne. Mnie się już praktyka kończyła, więc nie wiem, jak to się zakończyło, ale to była tragedia. Prawdopodobnie zapłaciliśmy za te śruby tyle, co za ten statek w ogóle wzięliśmy. Takie to było święto. Ale tak się czasem zdarza, a ja jak w sam raz musiałem być tego świadkiem.

8. Praktyki studenckie

Praktyki [trwały] cztery tygodnie, a czasem jeszcze się to trochę skracało. Ale praktycznie były to miesięczne praktyki. Czyli jak mieliśmy trzy miesiące wakacji, a jakoś się szczęśliwie udawało, że zawsze miałem trzy, to był miesiąc praktyk i jeszcze dwa miesiące czystych wakacji. I tam człowiek już poznawał właśnie te dobre roboty, ale i te fuchy. Wszystko, co i jak dzieje się na tych zakładach, jak to się robi w pośpiechu i niedokładnie. To były takie pierwsze doświadczenia, które zostają na całe życie. Na następny rok udało nam się zdobyć praktykę właśnie w Przedsiębiorstwie Demontażu Wraków. To było przedsiębiorstwo, które powstało specjalnie tylko po to, żeby podjąć Gneisenau z dna i potem go rozebrać. I kiedy myśmy się dostali tam na praktyki to był już chyba drugi rok rozbierania tego Gneisenau. To był jeden z niemieckich pancerników, uszkodzony w czasie wojny, który Niemcy specjalnie zatopili przy wejściu do portu w Gdyni tak, że jeszcze wiele lat po okupacji główne wejście do portu nadal było zamknięte, Gneisenau nie pozwalał statkom wpływać. Kilkaset metrów dalej z boku był rozbity falochron i tamtędy chodziły statki omijając to główne wejście. Tak było przez kilka lat po wojnie, do lat 50-tych, bo to musiał być chyba [19]53 rok, kiedy mieli już sposoby, żeby wydostać te wraki, przede wszystkim duże wraki, bo przecież to jest potężny tonaż.

W każdym razie jak myśmy zaczęli pracę, to on już był wydobyty, stał przy nabrzeżu i był rozbierany. To był olbrzymi plac, [wielkości] takich trzech boisk piłkarskich, może więcej. I to wszystko było zastawione sprzętem, który był na tym statku. Bo tam była prawie elektrownia, trzy diesle, które zasilają prądnice mogące wytworzyć tyle prądu, żeby oświetlić sześćdziesiąt tysięcy miasto, zabezpieczyć je w energię elektryczną. I to wszystko było na użytek tylko tego pancernika Gneisenau. One już były wtedy wydobyte i były specjalne brygady, które to konserwowały. Rzecz polegała na tym, żeby wszystko rozebrać, przemyć, bo to leżało w słonej wodzie, choć po wyjęciu wszystko było prawie lśniące. Dopiero, jak zostało wyjęte z wody, to zaczęło korodować już na nabrzeżu. Ale jak było w wodzie przez tyle lat, to po wyjęciu wszystko się błyszczało, bo ta słona woda jednocześnie konserwowała. Tam nie było tlenu, w związku z czym to się nie utleniało i dopiero, jak wyciągnęli na wierzch, to zaczęło wszystko korodować. A potem trzeba było wszystko to poskładać.

Powstawała brygada z różnych ludzi z całej Polski. Zjeżdżało się bractwo czasem takie dziwaczne, które szukało przygód. Nikt ich nie sprawdzał, kto oni, jacy to fachowcy, czy szkołę jakąś mają, bo dyplomów nikt nie miał. Po prostu spisywało się umowę, na ileś tam godzin pracy. I tu była druga nauczka, jak to trzeba szanować pracę. Ten nasz opiekun skierował nas do takiej brygady, gdzie mówili do nas: „Panowie studenci” a nasz brygadzysta mówił: „Musicie pamiętać, że prace trzeba szanować” I uczyli nas, na czym to szanowanie pracy polega. Na placu były potężne suwnice, z pięć czy sześć suwnic, tak, że prawie cały plac był ich zasięgu i z każdego miejsca można było suwnicą dojechać, czy coś przenieść. Umowy podpisywało się na przykład na pół roku, na takie długie okresy, bo był taki duży zakres prac.

Więc pierwsze dwa tygodnie, jak szedł kierownik, to oni nosili liny od tego dźwigu na plecach, że niby organizują robotę. A tam były takie duże rury, więc jak [kierownik] poszedł, to oni w tych rurach spali na słońcu. Szanowali robotę, bo wiedzieli, że ten czas jest długi. Nie mogli skończyć przed terminem, bo wtedy on zareklamowałby, że coś jest nie tak. Więc na początku musieli się obijać, żeby potem z kolei na czas to zrobić, bo mieli tę określoną pulę godzin. Nauczyli nas jak szanować robotę, żeby nie spieszyć się. Zresztą, oni mieli więcej doświadczenia, niż ten, co określał czas realizacji.

I tak pracowaliśmy. W tych dieslach, tak dla porównania, otwór od cylindra był taki, że wchodziłem w ten otwór. A w zespole były cztery takie gary. Czyli, jak silnik normalnie ma takie małe cylinderki, to ten miał takie wielkie cylindry. A przecież taki duży silnik ma jeszcze kupę osprzętu, bo jest wodą chłodzony, ma też elektryczne przewody i całe to uzbrojenie. Jeszcze te całe główne bloki pozbierać było łatwo, ale trzeba było po tym placu szukać. Brygadzysta mówił do nas tak: „Panowie, patrzcie tu są takie otwory, tu przychodzą rury i tu, w tych miejscach mają się dać przykręcić. Idźcie i poszukajcie takiego saksofonu na placu” Więc szliśmy i dobieraliśmy takie coś z tego placu. Przynosimy, ale to pasuje tylko na trzy otwory, dwa jeszcze są luźne, a na trzy pasuje, jako tako. [Brygadzysta] kazał nam zalepić to towotem i już nie było otworu i

nie brakowało niczego, wszystko potem grało. Ale mój kolega poskarżył się, że nudna jest ta robota tutaj, poszedłem do tego naszego opiekuna, żeby nam coś ciekawszego dał.

Ta ciekawsza robota polegała na tym, że już na kadłubie Gneisenau trzeba było wejść pod pokład, a raczej pod dwa piętra pokładu, żeby odkręcać płyty pancerne. On miał na całym boku potężne płyty pancerne, takie cztery metry na półtora metra, grubości chyba osiemdziesiąt milimetrów, wspaniałe blachy. To były prawie takie bloki pancerne, zabezpieczenia przed torpedami. I tu trzeba było od wewnątrz odkręcać takie duże nakrętki, że klucze do nich wycinało się palnikiem z grubej blachy, bo nie było kluczy, żeby objąć taką nakrętkę. A on miała tylko rączkę, biło się w nią takim dziesięciokilowym młotem, a jak się tylko ruszyło, to gwint był taki dokładny, że potem już można było ręką to odkręcić. Takich nakrętek było tam chyba ze sześć na każdej płycie. Ale, żeby tam [się dostać], trzeba było zejść w dół statku już pod linię wody, jak gdyby. Czyli na zewnątrz na kadłubie tam już była woda. A on był dziurawy ten statek. Żeby w ogóle dojść pod ten pokład gdzie odkręcaliśmy te nakrętki, szło się w dół kilka metrów takim lukiem, jak w taką wąską studnię, potem kawałek korytarzem w bok i znów w taką studnię po szczelach. Jednocześnie tamtędy szły dwa przewody, które wypompowały wodę z tej przestrzeni, gdzie myśmy stali i jeszcze przewody elektryczne, bo trzeba było świecić. A że trzeba też było czymś oddychać, to i rura z powietrzem. Powietrze było pompowane takim zwykłym kompresorem. Jak zesliśmy na dół, stanęliśmy do roboty to brygadzysta nam powiedział: „Panowie, objętość tej komory, w której jesteśmy ma w granicach dziesięciu metrów sześciennych. Jesteśmy pod linią wodną, wodę mamy też pod chodniczkiem. Gdyby pompy stanęły, to w przeciągu minuty komora jest zalana. Wiecie, czym to grozi. Ale jeżeli ktoś w międzyczasie jeszcze będzie robił mi panikę to dostanie ode mnie w łeb tym młotem” A miał ten taki młot dziesięciokilowy.

Ja tak się uśmiechnąłem prawie przez łzy, ale patrzę na tego mojego kolegę, a on blady, krople potu na czole. Biorę od niego te nakrętki, pomagam mu odkręcać, oglądam się znów, on prawie pada. Mówię do tego brygadzisty, że z kumplem jest źle. On też spojrzął na niego, mówi: „Kogoś mi pan tu przyprowadził” Ja przecież nie przyprowadzałem, tak nas skierowali. Ale w końcu on się wycofał piętro wyżej już ponad linię wodną. I wtedy, jak oni już odkręcili te nakrętki, to ja wiązałem je sznurem tu na dole, bo taka nakrętka to kilka kilogramów ważyła, a on ją ciągnął do góry, żeby wyciągnąć na wierzch. Tam już było normalne powietrze, nie z rury. Pracowało się w ten sposób, że schodziło się na cztery godziny, potem wychodziło się na dwie godziny odpoczynku i znów na cztery godziny wracało się na dół, tak się zaliczało godziny. Bo tam pod spodem nie wytrzymałby dłużej. Kolega powiedział, że już więcej tam nie pójdzie i kierownik nas skierował na kuter. To był taki kuter, który dowoził ludzi od razu na wybrzeże Gdyni, żeby nie jeździli tam gdzieś naokoło, bo przecież ten port był rozbudowany. Czyli ten kuter to była niby taka taksówka wodna, woziła tych pracowników, jak tam trzeba było.

I był tam taki stary Kaszub, taki przedwojenny mądrala. Ja jeszcze zostałem trochę w tej brygadzie [na statku], a mój kolega poszedł na ten kuter. Zachodzę tam kiedyś, patrzę, a on tak siedzi, [w ręku ma] przecinak i tak młotem wali w nakrętkę, żeby odkręcić. To był tak zwany „klucz rosyjski” albo „radziecki klucz”. Jak już w ogóle nie można kluczem odkręcić nakrętki, to jak się weźmie przecinak i duży młot i bije tak po skosie, to może jeszcze się uda. Jak nie, to się przecina tę nakrętkę przecinakiem i wtedy ona odpada. I ja patrzę, a on właśnie tak wali przecinakiem, żeby ją odkręcić, majster tak mu kazał. A są takie nakrętki lewe, z lewym gwintem. Są specjalnie oznaczone, mają wkoło takie nacięcia, tak jakby, w każdym razie widać, że to jest lewy gwint. I on zamiast odkręcać, to ją faktycznie zakręcał. Mówię do majstra, że kumpel coś z tą nakrętką sobie nie daje rady, że może w drugą stronę by spróbował. On mówi: „Niech wali mocno”. Okazało się, że ona jednak rzeczywiście miała lewy gwint ta nakrętka, więc majster się tak obraził, że mnie już nie chciał przyjąć na ten kuter na praktykę. Musiałem pominąć ten kuter, bo on nie chciał takiego mądrali. To była głupia rzecz, ale może ten majster nie wiedział o tym.

I takie to były prace podczas studiów. Ale zapał ludzi do pracy był duży. Był entuzjizm do pracy. Tylko te początki były trudne. Po pierwsze nie było dobrego nadzoru, bo przecież ludzie, którzy stanowili naszą inteligencję, poginęli. Byli przecież wyniszczeni. Przez jednych i przez drugich, ale przede wszystkim przez Niemców. Tak, że był ten polski entuzjizm, ale jednocześnie i to polskie lekceważenie, że my wszystko umiemy. Niemiec, jak pójdzie się do niego z samochodem, a on nie jest mechanikiem od tej marki, to on się nawet nie dotknie, a Polak? A obojętnie, czy to będzie Rolls Royce, czy to będzie Trabant, to Polak jest specjalistą, wszystko rozkręci. Że ze skręceniem potem bywa gorzej, to inna rzecz, ale rozkręcić rozkręci. Takie były początki, takie pozostałości po naszych tych nieszczęściach wojennych wszystkich. Oczywiście, myśmy chcieli jak najszybciej być już w pracy, jako inżynierowie. I tu znów był szkopał taki, bo kiedyś te inżynierskie studia były trzyletnie, a ja już szedłem kursem czteroletnimi, to już była taka szkółka. Z tym, że wprowadzili taką zmianę, że można było po siódmym semestrze, czyli po trzech i pół roku pójść na półtora roku jeszcze do Gliwic i tam przez te półtora roku dokończyć studia magisterskie. Nas ze Szczecina przyjmowała politechnika gliwicka, taka była umowa [między uczelniami]. Czyli po studiach czteroletnich otrzymywało się tylko stopień inżyniera, w ostatnim semestrze, kończyło się pracę dyplomową, ale żeby zdobyć magistra trzeba było przenieść się, bo wtedy szkoła inżynierska miała za mało ludzi przygotowanych naukowo, żeby nadawać stopnie magisterskie.

9. Człowiek partii

Byłem członkiem partii, znaczy byłem partyjny, byłem w partii. Sekretarzem był kolega, zresztą uczciwy człowiek, tylko taki troszkę ciemnowy. To był jeden z tych, [którzy wrócili] z Francji, czy może ze wschodu, starszy gość już, bo był już żonaty, z tego pokolenia jeszcze starszego ode mnie. On mnie tak namawiał, żeby do partii

wstąpić, bo byłem trochę lepszym studentem i im zależało na takich ludziach. Ja mu wtedy powiedziałem, że nie wstąpię do partii, bo tam idą ci, co się boją egzaminów. Namawiali mnie już, ale moją ambicją było, ja wszystko muszę [osiągnąć] sam. Jeżeli miałbym wstąpić, to dopiero, jak już prawie będę miał dyplom w kieszeni. I rzeczywiście wstąpiłem [do partii], dopiero w [19]54 roku, już prawie przed zakończeniem studiów. Ale wstąpiłem tam mając też i inne jeszcze wspaniałe przykłady.

Po pierwsze sekretarz uczelnianego PZPR-u. Co to znaczyło? Sekretarz partii na uczelni, to już była persona. A przedtem tym [sekretarzem] rzeczywiście był jakiś stary nieuk. On był w takiej randze, jak sekretarz powiatowy, a nawet więcej, jak sekretarz w dużym mieście, bo to była taka nomenklatura, takie stopniowanie tych sekretarzy. I były wybory sekretarza [na uczelni], przede wszystkim to ci młodzi partyjni studenci wybierali, ale i nas, niepartyjnych studentów zapraszali na zebrania partyjne, prawdopodobnie, żeby nas zwerbować. Pamiętam, że byłem na tym zebraniu, kiedy przyszedł nasz [wykładowca], on był tylko magistrem, ale wtedy to był tak w granicach czterdziestki, bardzo solidny, uczciwy człowiek. I jego, który był na tej uczelni człowiekiem świeżym, ale takim ludzkim, bardzo dobrze wykładał i miał zaufanie, bo młodzież go lubiła, wybierają na sekretarza. A on odmawia, mówiąc, że nie może być sekretarzem, bo był w AK. Co prawda nie chodziło mu o politykę, bo na polityce się nie znał, chciał walczyć z Niemcami, więc walczył z Niemcami w AK. A dlatego w AK, że nie było innej organizacji do wyboru. Dlatego mówił to jasno i wyraźnie: „Towarzysze, możecie mieć potem kłopoty, jak będą mnie zdejmować [ze stanowiska]” Tym bardziej wszyscy na niego zagłosowali i został tym sekretarzem.

Druga sprawa, to było chyba właśnie w [19]54 albo [19]56 ukazał się dekret, czy ustawa, który pracownikom uczelni, przed wszystkim tych nowopowstałych młodych uczelni, nadawał z rangi ustawy stopień profesorów. Rzeczywiście były przecież całe roczniki opóźnione o pięć lat, a może i więcej, ludzi, którzy kiedyś zaczynali, mieli już stopnie magisterskie, czy jeszcze studiowali i okupacja im to przerwała. A uczelniom trzeba było tworzyć nową kadrę. Trzeba było nadawać nowe tytuły. A przecież nie może ktoś bez tytułu nadawać stopni doktorskich, czy tytułów komu innemu. To była mądra decyzja, tyle, że państwo postawiło limity dla danych uczelni. Wytyczne były takie, że ludzie, którzy są dobrzy i oczywiście wybijają się też politycznie, dostaną z urzędu, z tej ustawy tytuły profesorskie. Wtedy już oni będą mogli nadawać z kolei stopnie magisterskie. Pchało się to wszystko, bo to było przecież tak, jakby ktoś milion złotych do kieszeni włożył. On, pierwszy sekretarz jest tylko magistrem, więc jemu pierwszemu to proponują. I on wtedy serdecznie dziękuje, że towarzysze chcieli mu dać rzeczywiście taką synekurę, jest wdzięczny, ale tego nie przyjmuje. Natomiast obiecuje, że swoją pracą zdobędzie to na normalnych warunkach”Potem, po dziesięciu latach spotkałem się z nim na zjeździe, okazało się, że był już rzeczywiście profesorem, jeszcze dopiero nadzwyczajnym, ale był. Miał już normalny doktorat.

Więc były takie jednostki, które dawały mi pogląd, że jeżeli takich ludzi będzie dużo w partii, to ta partia musi się zmienić. Ale niestety, gdybym wiedział o tym, co będzie potem, jak poszedłem do pracy, to bym nigdy do tej partii nie wstąpił. To już było całkiem co innego. Na zakładach pracy w terenie dziadostwo. Oczywiście w końcu, to już było wielu ludzi inteligentnych, wykształconych już tak prawdziwie, uczciwie. Ale na początku, to były straszne rzeczy, nie do opisanía. Trzeba powiedzieć jeszcze jedną rzecz, że potem rzadko się zdarzało, żeby na wyższych stanowiska był ktoś bezpartyjnych. To trzeba przyznać jasno i wyraźnie powiedzieć. Partia decydowała o stanowiskach, bo wszyscy już ważniejsi kierownicy i dyrektorzy byli w tak zwanej nomenklaturze komitetów, czy powiatowych, czy wojewódzkich. Czym ważniejszy, tym wyżej. Ministrowie byli w nomenklaturze Komitetu Centralnego, ale to tak było, że jeżeli dana, jednostka terytorialna partyjna nie zatwierdziła dyrektora, czy nie zatwierdziła ministra, to on nim niestety nie był. Z tym też wielu ludzi musiało się liczyć. To może trudno zrozumieć, ale taki był układ. Muszę powiedzieć, że wielu ludzi szło do partii na przykład, dlatego, żeby zdobyć mieszkanie, ale szło też wielu ludzi, którzy wierzyli w to, że jak będzie w tej partii rządzącej dużo mądrych ludzi, to i ta partia będzie mądra. Okazało się, że nie bardzo to wyszło.

10. Starania o pracę w WSK Świdnik

My, młodzi inżynierowie, chcieliśmy już jak najszybciej pracować. Nie interesowały mnie dalsze studia, bo stopień magistra praktycznie nic mi nie dawał. Ja przede wszystkim miałem jedno spodnie. Dosłownie jedno spodnie. I jedno buty. Czyli prawdopodobnie, gdybym poszedł na studia magisterskie, to już bym boso musiał chodzić. Tak to było. Dlatego mnie interesowało, żeby jak najszybciej zacząć pracę. A ile to w tych młodych ludziach było takiej odwagi, a przy okazji może i tupetu. Bo oczywiście były nakazy pracy, ale w okolicach Szczecina, czyli tam, gdzie dawali nakazy pracy nic mnie nie interesowało. Mnie frapowało być w WSK Świdnik, bo po pierwsze w Piaskach mieszkali rodzice, a po drugie –to był bardzo porządny i w tym czasie znaczący na Lubelszczyźnie zakład pracy.

Fabryka Samochodów Ciężarowych powstała dopiero później, więc to WSK była taką czołową jednostką przemysłową w naszym [regionie]. Ja przez całe studia chciałem tam się dostać, tym bardziej, że miałem kolegów, którzy pracowali w WSK, i którzy mi o tym opowiadali. Powiedziałem sobie, że muszę sobie załatwić pracę w Świdniku. Co to dla mnie pojechać do ministerstwa! Demokracja demokracją, ale rzeczywiście, fakt, że przyjeźli mnie tam w departamencie kadr w ministerstwie przemysłu. Ale też zaczęli stawiać warunki, że muszę mieć zaświadczenie, że mnie WSK przyjmie, że to, że tamto. A czas ucieka, ja nie mogę tak ciągle jeździć ze Szczecina, bo to przecież osiemnaście godzin w tę i z powrotem, a przy okazji jeszcze drogo, kupę pieniędzy trzeba było wydać na bilety.

Przyjechał [na uczelnię] ten przedstawiciel ministerstwa, ma nakazy pracy, proponuje

wszystkim to, czy tamto. Przychodzi też do mnie. Pytam, czy ma mój imienny nakaz pracy do WSK Świdnik. Mówi, że nie, bo WSK Świdnik jest w drugim końcu Polski. Ja z kolei tłumaczę, że byłem w ministerstwie i załatwiłem to, powinno być. On miał już konkretne przedsiębiorstwa wypisane na nakazach, ale miał ze sobą kilka pustych [blankietów], miał też ze sobą maszynę [do pisania], wstawiał tylko nazwisko i stawkę, bo stawki też miał uzgodnione. Mówię, że ja mam wszystko załatwione, podaję nazwiska, a on te nazwiska musiał znać. I w końcu rzeczywiście daje mi nakaz pracy do tego WSK, pyta jeszcze o stawkę. A najwyższa, pamiętam, była 1200 –1300 złotych, mówię, że uzgodniłem z nimi 1200 złotych. Wpisał mi tę stawkę. Mam, więc już ten nakaz pracy, jestem szczęśliwy.

Przyjeżdżam jeszcze w czerwcu na wakacje i pierwszego września jadę rowerem z Piask do Świdnika. Autobusem [z WSK] nie mogłem jeździć, bo nie miałem biletu, to zakład pracy dawał bilet na autobus. A [na miejscu] oni mówią mi, że nie ma przyjąć. A przecież ja mam nakaz pracy. Z tydzień odczekałem, miałem wtedy takie niezłe towarzystwo, wrzesień był taki bardzo ciepły, kąpaliśmy się na stawach, tak, że ja sobie jeszcze pohulałem trochę. Jadę do Warszawy, do dyrektora naczelnego tych wszystkich WSK w Polsce, to był tak zwany urząd centralny. Sekretarka mnie melduje u dyrektora, on mnie przyjął, wysłuchał. Oni mieli takie telefony wysokiej częstotliwości, które szły po liniach wysokiego napięcia, a to był specjalna linia do bezpośrednich połączeń, czyli nie mogło być żadnych obciążeń na tych liniach. To było wyznacznikiem jakiegoś tam stopnia gradacji stanowiska, bo tylko dyrektorzy takich poważnych zakładów mieli te telefony. On złapał słuchawkę i od razu z mety z dyrektorem WSK się łączył, tylko z dyrektorem. Rozmawiał z nim, bo miał też inne sprawy do niego, a na zakończenie mówi, że jest u niego młody inżynier, nazwisko Pyrz i trzeba go przyjąć jak się zgłosi [do pracy]. Położył słuchawkę, mówi do mnie: „Możecie jechać” Podziękowałem, wyszedłem.

11. Zostałem młodym inżynierem w WSK Świdnik

Odczekałem jeszcze tydzień tak, że miałem dwa tygodnie dodatkowo urlopu i gdzieś koło piętnastego września zajeżdżam do WSK. Od pierwszego września dali mi zatrudnienie zgodnie z nakazem pracy, a dwa tygodnie mnie nie było przecież. I tak zostałem młodym inżynierem w WSK Świdnik. Pracowałem najpierw w tak zwanym dziale przygotowania produkcji, to był dział konstrukcji narzędzi. I tu mnie spotkał przypadek dziwny, ale miły. W sekcji konstrukcji narzędzi było nas pięciu, tylko ja byłem inżynierem dość młodym, a poza tym pracowali tam starzy technicy. To znaczy oni byli może o kilka lat ode mnie starsi, ale pracowali już po dziesięć, po dwanaście lat w tym zakładzie i to oni uczyli mnie. Bo dopiero praca uczy rzeczywiście tej prawdziwej pracy inżynierskiej, a przede wszystkim jak się guzy ponabija na głowie, to wtedy dopiero człowiek coś tam wie, a i to nie wszystko.

Więc oni mnie uczyli tego przynajmniej, co wiedzieli sami. Nie przepracowałem chyba jeszcze nawet pół roku, kiedy wzywają mnie do kierownika, to znaczy zastępcy

dyrektora do spraw przygotowania produkcji. Idę, a tam siedzą wszyscy pracownicy, pomyślałem, że podpadłem –albo coś naskarżyli na mnie, albo co. A dyrektor mówi, że moi koledzy przyszli do niego, bo pan Almek –tak miał na imię ten kierownik, bardzo fajny zresztą gość –rezygnuje z funkcji kierownika sekcji i wszyscy uważają i zgadzają się, żebym ja został kierownikiem na jego miejsce. Pierwszy raz i ostatni w życiu coś takiego widziałem. Chłopak, który rzeczywiście był dobry, ja może tylko szybciej przyswajałem [wiedzę], ale w tym fachu, to on więcej ode mnie wiedział i on się rzeka polubownie. Ani ja się nie pchałem, ani nawet nie uważałem, że jestem lepszy od niego. Mało tego, nie tylko on, ale pracownicy wszyscy na to się zgodzili. Czyli on to uzgodnił z nimi.

I tak zostałem kierownikiem sekcji, to był mój pierwszy awans. Niespotykana rzecz. Dobrze mi się pracowało w tej sekcji z tymi chłopakami, ale potem dyrektor ten od przygotowania produkcji nabrał do mnie trochę chyba jakiejś sympatii, bo i w delegacje mnie wysyłał i do takich specjalnych poruczeń. Któregoś dnia zaproponował, że zrobi mnie kierownikiem postępu technicznego w jednoosobowej komórce. Dostanę swój pokój, swoje biurko, swój stół kreślarki. Będę bogiem i carem i sam sobie będę rządził. A, że to był awans do tego i postęp techniczny, to myślę, dobra. Okazało się potem, że ja sam musiałem robić plany [realizacji], a potem oszukiwać w tych sprawozdaniach, bo to, co kwartał sprawozdanie szło aż gdzieś do ministerstwa. Zaczęła mnie nudzić ta praca, a jeszcze sam w pokoju, do nikogo gęby otworzyć.

Po jakiejś hulance, po niedzieli, pamiętam, że to był poniedziałek, przyjeżdżam do pracy taki zmęczony, a ja nie piłem wódki, tylko stańczyłem się chyba, bo lubiłem tańczyć i jakiś balik zrobiliśmy z dziewczynami. Po prostu zmęczony byłem, bo nad ranem chyba dopiero gdzieś się położyłem spać, a już trzeba było jechać [do pracy]. Wpadło mi do głowy –a jakbym tak zamknął drzwi na klucz i położył się na dywaniku tam przy biurku? Położyłem się. [Dopiero] syrena mnie obudziła, bo jak była trzecia, to gwizdała, huczała. Jak ja się czułem! Boże drogi, bałem się wyjść, że może tam pod drzwiami ktoś był, może ktoś pukał do mnie w międzyczasie. Jak to możliwe, że dopiero mnie obudziła syrena, jak praca się zakończyła, a ja spałem. Ja, młody inżynier po studiach i tak się zachowałem. Tak mnie to męczyło, że na drugi dzień poszedłem do tego dyrektora i powiedziałem, że jeżeli on mnie szanuje, to albo musi mi załatwić od jutra pracę na produkcji, albo się zwalniam, że to jest święta dla mnie sprawa. Namawiał mnie, dochodził, ale w końcu rzeczywiście mi pomógł i poszedłem na wydział motocyklowy. Wtedy jak w sam raz uruchamialiśmy produkcję motocykla. WSK przejęła ten motocykl od fabryki z Warszawy [red. WFM].

Zostałem tam zastępcą kierownika do spraw technologicznych i od tamtego czasu już nigdy w życiu nie nudziłem się w pracy. Praca na produkcji, czyli w czynnym działaniu, to jest całkiem inne życie. To był pewien skok, awans życiowy taki, jak ja się cieszyłem, jak ktoś powiedział do mnie „panie inżynierze” A jeszcze na produkcji nie ma czasu, żeby się człowiek nudził, jak chce coś zrobić, jak chce być przydatny.

A jak nie chce być przydatny, to go szybko za burtę odsuną. Nie da rady. Zacząłem pracować na produkcji i tam zyskałem duże doświadczenie. Tam spotkałem się z ludźmi, a sporo ich było na Świdniku, którzy byli fachowcami jeszcze sprzed wojny. Jak tworzyła się WSK, to podobno były specjalne ekipy, które miały jakieś dokumenty i ściągały tych dobrych spawaczy, dobrych ślusarzy, których potem majstrami robiono. W Lublinie były zakłady lotnicze Plagego-Laśkiewicza, w Białej Podlaskiej też były zakłady lotnicze tak, że tutaj trochę tego przemysłu lotniczego było.

Trochę fachowców ściągnięto z kolei z Poznania. To było całkiem inne pokolenie naszych robotników, tej klasy robotniczej. To się nie nazywało przedtem robotnik i klasa robotnicza, tylko się mówiło rzemieślnik i „cech rzemieślniczy” I to byli wspaniali rzemieślnicy, ale przy okazji to byli wspaniali ludzie. Nie spotkałem wśród nich jakiegoś takiego szubrawca, czy jakiegoś krętacza. To byli ludzie, z których trzeba było brać przykład. Pamiętam taki przypadek. Przy produkcji motocykla, kiedy dziennie schodziło czasem ponad tysiąc motocykli z taśmy, bo były takie okresy, to takich drobnych detali produkowało się już na tysiące. I wtedy już się nie liczyło tego [na sztuki], tylko technolodzy opracowali specjalne pojemniki i pojemnikami się [red. rozliczało]. Jak się wydawało robotnikowi pracę, czy potem odbierało się od niego tę pracę na tokarkach, czy na szlifierkach, to, jeżeli ten detal układało się w odpowiednie rzędy i piony, to wiadomo było, że ten pojemnik ma 1000, czy 2000 sztuk. I tak się rozliczało, tak szło do rozdzielni, i potem od razu gotowe na taśmę. I były takie, myśmy to nazywali, miseczki. Przy kierownicy, tam, gdzie jest łożysko była miseczka górna i miseczka dolna. To tam, gdzie kierownica szły takie cztery miseczki, bo dwie na górne, dwie na dolne łożysko. Szlifierz, który ma już końcową robotę, szlifuje te bieżnie pod kulki. A tych szlifierzy było ośmiu na zmianie, bo to było całe gniazdo. Któryś tak to sfalszował, że poukładał sobie szlifowane [elementy] tylko na górze w [red. dwie warstwy], znaczy w wysokości. A pod spodem były te nieoszlifowane. I zdał jako cały pojemnik szlifowanych, kartę wziął, kontroler mu podpisał. Czyli wziął pieniądze za całość, a zrobił tylko ze dwadzieścia sztuk górnych, czy może trzydzieści, a pod spodem prawie cały tysiąc został. I to się dostało na taśmę. Zdjęli te pierwsze, patrzą –pod spodem są nieszlifowane. Szum się zrobił, że aż naczelny dyrektor się tym zainteresował, bo taśma stoi, detali nie ma. I przychodzili ci starzy robotnicy, ci majstrowie. Mówili: „Żeby mu ręka uschła, jak on mógł coś takiego zrobić” Im się to w głowie nie mieściło, że można w taki ordynarny sposób oszukać kogoś, a nawet doprowadzić do nieszczęścia.

Oni naprawdę byli oburzeni tym, że można coś takiego zrobić. Ale to już była ta nowa klasa robotnicza, która nam dużo rzeczy zepsuła. Dużo rzeczy. Rozmawiałem ze swoimi kolegami, którzy szczerze mi mówili o tym, że rzucili szkołę, bo chcieli już zarabiać. Pytają ich, co potrafią robić, a oni, że instalacje elektryczne. A nigdy w świecie tego nie robili. To było też w WSK, ale na budowie tego osiedla [pracowniczego]. Teraz już takich instalacji się nie robi, ale przedtem to w tak zwanych rurkach Bergmana prowadziło się, przeciągało się przewody elektryczne. Te

urki były wkuwane i zatynkowane i dopiero przez nie prowadziło się przewody. To była ciężka, żmudna praca, bo to trzeba było przeciągać i dopiero potem to się łączyło w gniazdkach na łączach. I płaciło się za ileś tam odbiorów tych zrobionych punktów, przeciągniętych. To oni podwójnie zarabiali na tym. Przewody sprzedawali na lewo, bo wtedy wszystko szło, jak woda, a instalacje robili w ten sposób, że na przykład w gniazdku, to tylko dwa kabelki ucięte wsadzili w rurkę, i to było do gniazdka podłączone, ale dalej nie było przewodu, tylko te dwa kabelki. To samo przy żarówce, w rurkę włożony był tylko taki krótki przewód, a resztę sprzedawali na lewo. Kontrola potem szukała powodu, dlaczego prąd nie dochodzi, a wszystko niby jest. Aż któryś przypadkowo pociągnął i to wyszło całe, te dwa kabelki. Okazało się, że tak jest wiele instalacji robionych. Więc takie kombinacje to były fakty. Tak się w takich trudach budowało się tę naszą Polskę wyzwoloną. Na tym świdnickim osiedlu były całe sążnie cegieł, które zostały z budowy. Ale potem przyszło inne przedsiębiorstwo i równało to. A że sążnie były niezabrane, to wywaliło ten cały sążeń w ziemię, zasypało i koniec. Jak potem, już po latach robili drogę, to całe sążnie cegieł jeszcze wykopywali z tych dołów. Ale to wszystko było wynikiem okupacji, kiedy trzeba było oszukiwać to jednych wrogów, to drugich. I myśmy cały czas oszukiwali, a potem samych siebie też. To są takie obrazki.

12. Przeszkolenie wojskowe

Na produkcji motocykla pracowałem dość długo, stamtąd capnęli mnie na przeszkolenie wojskowe w [19]56 roku. To było w Zabrze, na Śląsku. Po studiach dawali nam najpierw stopnie chorążych, tylko, że chorążego wprowadzili, jako najniższy stopień oficerski. A to wszystko dla oszczędności pieniędzy. Potem znieśli chorążych i dali nam podporuczników. Tak, że byliśmy podporucznikami. Mieli prawo powoływać nas na szkolenia na trzy miesiące. To było o tyle niezłe, że dobrze płacono. Bo za pierwszy miesiąc płacono sto procent ostatnich zarobków w zakładzie pracy, natomiast za dwa następne po siedemdziesiąt pięć procent. Tak płacili kawalerom.

Ja wtedy byłem kawalerem, ale tym, którzy byli żonaci i mieli dzieci za wszystkie trzy miesiące płacili po sto procent. Jednocześnie w wojsku wypłacano nam żołd, żeby nam wystarczyło na kasyno, żeby tam sobie wykupić obiady, śniadania i jeszcze na papierosy zostawało. A jeszcze i tak musiało się chodzić w ubraniach wojskowych. Ja byłem w wojsku w tym czasie, kiedy w Polsce była ta pierwsza odwilż, [19]56 rok.

Spotkałem się z wieloma kolegami ze studiów na [tych] szkoleniach wojskowych, bo wszyscy tam byli po studiach, przede wszystkim technicznych. Miałem dobrą fuchę, bo zrobili mnie pisarzem w tej naszej kompanii, a to był osobny kawałek wojska, jak gdyby. Moja [rola] polegała na tym, że pisałem plan pracy i rozkazy dowództwa. Wzięli nas trzech i trzeba było przepisać akapit z „Trybuny Ludu” Z uwagi na to, że miałem brzydki charakter pisma, to pisałem półtechnicznym, bo miałem je wyćwiczone. I chyba przez to wygrałem konkurs na pisarza. Miałem [takie] przywileje,

że nie musiałem stawać do raportu, przy raportach stałem z boku, nie w tym szeregu, a nawet nie musiałem być przy tym. Z dowódcami dobrze żyłem, bo oni zaraz jechali gdzieś na polowanie, i tylko zostawiali mi wskazówki, gdzie są i działają dowódcy, czyli co mówić jak ktoś przyjedzie. Myśmy żyli swoim życiem, a oni albo pili albo byli na polowaniach.

Wtedy zaczęła pierwsza odwilż, [19]56 rok, wejście Gomułki. Mieliśmy bardzo mało wiadomości o tym, co się dzieje, trudno do nas docierały. Jest wieczór, przychodzą jacyś ludzie, nawet nie nasi dowódcy, tylko ludzie z jednostki, zawodowcy i każą nam pobrać broń. W skrzyniach na strychu w tych naszych koszarach była broń z pełną amunicją. Zgromadziliśmy się z tą bronią na świetlicy i tak patrzymy jeden na drugiego, do kogo będziemy strzelać? Do kogo? Nudziliśmy się tak po całych dniach i nocach, tośmy grali w brydża w tej świetlicy i w pewnym momencie ktoś powiedzieliśmy, że się stąd nie ruszymy. Jeżeli nas ktoś będzie chciał siłą [usunąć], to na niego będziemy używać tej broni. Broń, maszynowe pistolety z pełną amunicją, [leży] na stolikach, a my rzniemy przez cały wieczór w brydża. Rano kazali nam tę broń oddać. Prawdopodobnie widzieli, że nas nie użyją do niczego, że nikt od nas nic nie wydebni. Jeden kolega, który nie lubił wojska mówił na tym przeszkoleniu, że jak by jeszcze Rokossowskiego zdjęli, to by został w wojsku. Mówiliśmy: „Będziemy cię za słowo trzymać” A na drugi dzień okazało się, że to był ten przewrót, słyszymy –okossowskiego zdjęli. Ale wyłgał się, kolega, nie został w wojsku. Po latach dostałem swoją teczkę personalną i tam była opinia, jaką mi z Zabrza wtedy wydali. Chyba mieli ze mną trochę różnych kłopotów, bo między innymi było tam takie zdanie: „Błyskotliwy, ale krnąbrny” Bardzo mnie ucieszyła ta opinia.

13. Odwilż 1956 roku

Jak wróciłem na zakład to atmosfera była dość dziwaczna. Stara wiara, ci przedwojenni działacze komunistyczni, bo jeszcze i tacy byli, nie bardzo się zgadzali z tą nową władzą, bo to byli tacy jak gdyby prawdziwi komuniści. W każdym bądź razie działo się tak, że wielu ludzi było między sobą skłóconych. Oczywiście młodzi ludzie dochodzili do głosu. Mnie tam nie było, bo jeszcze wtedy byłem w wojsku, ale mi to opowiadali, jak jeden z młodych inżynierów na zebraniu krzyczał: „Na naszych rękach jest krew robotników” Bo wtedy było trochę strzelania, Poznań i tak dalej. Poznań był wcześniej, co prawda, ale to się wszystko razem składało na tę odwilż. On szybko awansował wtedy, aż dostał się do komitetu wojewódzkiego, tylko bardzo szybko potem go wywalili. Bo on szedł na fali odnowy w partii i przyznawał się, brał na siebie to, co się, tam brzydkiego robiło w tym wszystkim.

A przecież jeszcze ciągle była na zakładzie komórka UB, był terror. Wtedy to nie była łatwa praca. Kiedyś zgubiła się jakaś odbitka, guzik warta, bo to był tylko jakiś element, jakaś dokumentacja detalu, który był tajny, bo przecież cała produkcja lotnicza była tajna, ale tak za to gnębili chłopaka, że prawie zwariował. Podejrzewali go o to, że z wywiadem pracuje. Chłopak ledwo wiedział, jak się nazywa, a oni go

podejrzewali, że z wywiadem współpracuje. Leczył się potem dość długo. Przy każdej rewolucji bardzo często wychodzą szumowiny, a ci ludzie, którzy naprawdę coś w życiu zrobili albo uczciwi byli w takiej, czy innej idei, potem zostają w tyle, giną albo są niezauważani. I był taki jeden, co też się dostał aż do komitetu wojewódzkiego, tyle, że go potem rozszyfrowali. On na wiecu pod pocztą główną pocztą w Lublinie dał na sobie koszulę i mówił: „Tu na tej piersi towarzysz Wiesław leżał. Razem z nim w więzieniu siedziałem” A potem się okazało, że on siedział w więzieniu, ale normalnie za bandziorstwo. To, jakiego on tam Gomułkę widział. Gomułki nie widział, tylko zrobił z siebie bohatera po pijanemu. A urósł na działacza! Ponad rok to chyba trwało, kiedy był prawie bożyszczem, jako wzór robotnika, który siedział w więzieniu i walczył.

Takich jest sporo w każdym ustroju. Trzeba powiedzieć jedną rzecz, że ten [19]56 rok był dużym oddechem dla społeczeństwa. Myśmy się w Polsce jakoś tak inaczej poczuli, jak ten Gomułka nie przyjął wtedy tego przywódcy radzieckiego. Tylko w tych wszystkich przewrotach, według mnie niepotrzebnie zawsze gdzieś tam w zanadrzu były te sprawy z Żydami, gdzieś one tam tak podskórnie były. A oni swoje grzeszki też mieli, to trzeba przyznać jasno i wyraźnie. Ale oceniać, to chyba dopiero po stu latach będzie można, tak mi się wydaje.

14. Prace zlecone, nadgodziny, dodatkowe źródła dochodu

Jeżeli chodzi o sprawy socjalne takie, jak na przykład wycieczki, to niewiele mogę na ten temat powiedzieć, bo z nich w tym czasie nie korzystałem. Byłem kawalerem, nie miałem rodziny i co innego mnie interesowało w tym czasie. Miałem świetne towarzystwo, jak wracałem do domu, to już na mnie tam czekało i piłka, i sport, i dziewczyny. Natomiast, jeżeli chodzi o delegacje, to na delegacjach też, mówiąc szczerze, coś tam się zarabiało. Ale to były wszystko grosze. Nie można było, oczywiście, spać w dobrych hotelach, bo to zaraz było źle widziane, w żadnym wypadku nie chcieli tego rozliczyć. Czasem sprawdzali, że nie po trasie była delegacja. W ogóle zdobycie pieniędzy w jakiś dodatkowy sposób było bardzo utrudnione. Żadnych robót zleconych, żadnych robót dodatkowych, żeby chociaż te godziny nadliczbowe, ale kierownicy mieli nieograniczony czas pracy. Tak było w umowie. Broń boże uszczypnąć trochę tego czasu, ale w górę można było pracować i pracować. I tak się, zresztą pracowało.

Ja miałem o tyle trudności, jak musiałem zostać, a zostawałem dość często, jako zastępca kierownika, bo praca tego wymagała, że musiałem przez Lublin wracać. Pociągami jechać do Lublina i tam [przesiadać się] na PKS. Albo iść na piechotę i na wylocie szosy świdnickiej łapać jakąś okazję, bo nie było przecież wtedy taksówek w Świdniku. Ani hotelu, żeby można było [zanocować]. To wszystko wtedy było strasznie prymitywne. Ale też ze wszystkiego się cieszyliśmy. Pamiętam, jak myśmy cieszyli się na przykład z Trasy W-Z, gdzie były pierwsze w Polsce schody ruchome. Jechało się przecież oglądać, jako atrakcję największą te ruchome schody, specjalnie

były organizowane wycieczki na ruchome schody do Warszawy, choć one tylko kilka metrów w górę jechały.

15. Przeprowadzka do Zamościa

W WSK Świdnik pracowałem do [19]60 roku. Wtedy właśnie przenieśliśmy się do Zamościa. Po pierwsze szykowałem się założyć rodzinę, a w związku z tym chciałem mieć mieszkanie. I kiedy [odchodząc z WSK] rozmawiałem ze słynnym dyrektorem naczelnym Smolarkiewiczem, z którym potem, zresztą dość blisko współpracowałem, bo dla jego zakładu robiłem detale już w WuZetMocie, pan dyrektor powiedział, że przecież byśmy to mieszkanie załatwili. Tylko, że to już było trochę za późno. Bo jak ja tyle lat próbowałem, to nikt się nawet nie obejrzał, a teraz, kiedy już odchodziłem i on miał ten ostatni podpis na mojej obiegówce postawić, to mi wtedy powiedział, że coś byśmy znaleźli. To już było za późno. Tak, że mieszkanie zdecydowało o tym, że chciałem gdzieś się przenieść.

A druga rzecz – miałem kolegę, z którym studiował razem mój brat, ale bardzo często przebywaliśmy razem w towarzystwie, a który był kierownikiem działu inwestycji w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Przemysłu Mięsnego w Lublinie. W tym czasie w zakładach mięsnych w Zamościu, które dopiero stawiały pierwsze kroczki, coś złego się działo. [Aresztowali] głównego mechanika, zdjęli dyrektora, bo coś tam kombinowali, kradli, pili, a główny mechanik, który całą tą techniką miał rządzić, poszedł do więzienia. I ten mój kolega, który w Wojewódzkim Zjednoczeniu prowadził inwestycje, mówi, że tam jest taki bałagan, że tylko ja mogę tam zrobić porządek. Dostanę mieszkanie i wyższą pensję.

I tak się stało. Przyjechałem do zakładów mięsnych w Zamościu z jedną walizeczką. Mieszkałem w takim pokoiku za sceną świetlicy. To były takie jakby rozbieralnie, takie małe pokoiczki, jedno łóżko i nic więcej. I tak to się zaczęło. Jeszcze nie byłem wtedy, oczywiście, żonaty. Siedziałem tam i pracowałem prawie dzień i noc, a zresztą jako kawaler to bym się i tak nudził. Rzeczywiście bałagan był straszny. Zakład pracował dziennie dwie, trzy godziny, były ciągle awarie. A ci ludzie nawet się cieszyli. Krzyczeli tylko: „Panie inżynierze, breweria” I szli sobie do piwnicy, coś gotować. W piwnicy były ławy takie, żeby tam śniadanie zjeść i oni tam sobie gotowali. Bardzo się z tej „brewerii” cieszyli, bo mieli wtedy luz, roboty nie było. Wszystko tam się psuło. Nikt nie umiał tego w żaden sposób naprawić, nie było części. Powiem tak dla przykładu, że jeżeli ja zastałem ten zakład i miałem wtedy łącznie chyba dwunastu pracowników, a jak odchodziłem było stu dwudziestu w dziale technicznym, to znaczy, że zakład był prowadzony przez ludzi, którzy się do tego nie nadawali, nie mieli w ogóle pojęcia o organizacji. A zakład zaczął już pracować. Dlatego tak się to wszystko działo.

Zaczynałem od zera. Ale najgorsze to było to zaczynałem [pracę] w zakładzie o pięknej dyscyplinie, jakim była WSK Świdnik. Tam wszystko było na godzinę. Jak się ktoś spóźnił, to zostawał za bramą, już go nie puszczali. Wystarczyło minutę

spóźnienia, brama się zamykała, koniec! Dniówki nie ma, a jeszcze nagana i kto wie, czy w ogóle ten, kto by się tak spóźniał długo by popracował. Wódki tam się nie piło. Byli koledzy, co pili, jak była możliwość tuż przed gwizdkiem, czyli szedł trzeźwy na bramę, a za bramą był już pijany. Broń boże na zakładzie! Wyleciałby od razu. Nie było przeprosić. A tu wpadłem w takie towarzystwo. Mało tego, przemysł mięsny, jak i przemysł chemiczny jest najgorszy o tyle, że wsad produkcji, czyli produkt szybko się psuje. W przemyśle metalowym, jak coś się zepsuje i się tego nie przerobi, to leży. Najwyżej skoroduje, ale to się wyczyści i jest dobrze, bo co tam jakiemuś prętowi zaszkodzi skorodowana powierzchnia, szczególnie jak jest gruby. Mięsu w lecie wystarczy godzina i już „chodzi” wszystko śmierdzi.

To jest potworna rzecz. Jakbym wiedział, że to takie bagno jest, to bym w ogóle tam nie szedł. Tak samo jest w chemii, że są pewne rzeczy nieodwracalne. Ale ja się [red. za późno] przekonałem o tym wszystkim. I, owszem, ja byłem inżynierem, ale przecież chłodnictwo, ciepłownictwo, kanalizacja, elektryka to są dziedziny innych inżynierów. To są inne branże! Całkowicie inne branże, których ja nie znam, a tu trzeba za to odpowiadać. I to jest poważna sprawa, bo przecież nad tymi zakładami prokurator miał specjalną pieczę. Tu pijaństwo, kradzieże i inne sprawy już kwalifikowałyby się na przestępstwo.

I ja, jako młody chłopak w tych sprawach jeszcze nieobeznany i w ogóle nie fachowiec, musiałem się z tym wszystkim borykać. A do tego jeszcze atmosfera [pracy]. Jest awaria dość ważnego urządzenia. Kolosalna maszyna, główna maszyna do obracania tej świni i oczyszczania z sierści, z tego wszystkiego. Jest awaria, która musi być na rano usunięta, więc ja tam siedzę w nocy, a tu przychodzi jeden z zastępców, pijany w sztok i mówi: „Po co ty taki, nie taki tu przyjechałeś” Ja boksowałem trochę i nawet w pewnym momencie tak się wahałem, bo chciałem go strzelić i miałem prawo to zrobić, ale potem sobie pomyślałem, że on sam się załatwi. I rzeczywiście, po pewnym czasie przyjeżdżał już nie jako dyrektor. Jakimś tam urzędniczyną go zrobili, takie to były czasy.

Przy tych „browerjach” jak oni to nazywali, przy awariach maszyn, jak oni tam schodzili na dół i sobie coś gotowali, to przecież zaraz trzeba było czymś zakrapiać. Ja zachodzę tam kiedyś, patrzę, a oni półlitrowki mają na stołach. Po tej dyscyplinie w Świdniku ja normalnie zdębiałem. Idę do dyrektora. Dyrektor też był nowy, zresztą ekonomista, więc na mięsie też się nie znał. Mówię, że oni piją wódkę na zakładzie. A on się popatrzył na mnie i mówi, że jeszcze nie jesteśmy na tym etapie, żeby im zabronić. Myślę: „Ale wpadłem w bagno, co ja tu zrobię z tym wszystkim” Ale powolutku, powolutku się udało, chociaż różne tam sobie guzy nabijałem, to prawda. I chyba ze czterech dyrektorów naczelnych jeszcze przeżyłem.

16. Zakłady Mięsne – inwestycja w portfelu premiera

Ale zaczynają się inwestycje. I to poważne inwestycje, bo buduje się poważną chłodnię, poważne obiekty rozbioru i przechowywania mięsa. Potem przychodzi

konserwiarnia i jeszcze szynkownia, a to oznacza duży eksport. To jest inwestycja, która jest w portfelu premiera Cyrankiewicza. Bo to było tak, że w zależności od znaczenia inwestycji, takich ważniejszych w Polsce, niektóre były w tak zwanym portfelu ministra. Minister był za to odpowiedzialny i sam się tym interesował. A takie super ważne, a już na pewno eksportowe, były u premierów. U premiera Cyrankiewicza i tych kilku zastępców.

To była tak ważna inwestycja, że była w portfelu premiera Cyrankiewicza. Każdą naradę prowadził jakiś minister, czy to budownictwa, czy przemysłu mięsnego, w zależności od tematu i tego, jakie były ten te narady –produkcyjne czy inwestycyjne. Ja jestem w tym czasie głównym mechanikiem, a zakład to na razie prowizoryczna kotłownia, prowizoryczna chłodnia, zbiorniki ciśnieniowe na amoniak wykonane warsztatowym sposobem bez zachowania najmniejszych wymogów technicznych i oczywiście niesprawdzone. Takie zbiorniki powinny być z atestowanej blachy, z atestowanymi spawami, przyjęte przez dozór techniczny. A to wszystko nie jest.

W pewnym momencie wybucha jeden z poważnych zbiorników z amoniakiem. W nocy przychodzi do mnie ten obsługujący i mówi, że katastrofa się stała. Przyszedł do mnie, bo ja przy tych zakładach mieszkalem blisko. Pies, który został tam w budzie, padł przy tym wybuchu. Pytam, jak on wylażł stamtąd, mówi, że przez to okienko, ale wątpię, bo ono było bardzo wąskie. Prawdopodobnie on gdzie indziej był, zostawił tę maszynownię bez nadzoru, bo nie mógłby stamtąd wyjść, byłby także trupem. Wszystko to trzeba było od początku porządkować, wszystko robić. W zakładach mięsnych jest zużywana olbrzymia ilość ciepłej i zimnej wody oraz ciepła, bo to wszystko trzeba podgrzewać, płukać. A z drugiej strony chłodzić. Bywało tak, że w nocy budzili mnie, bo sprężarki stanęły, a na komorach już temperatura się podnosi. A co to znaczy, że na komorach temperatura się podnosi? Tam były tony mięsa, a jak tony mięsa złapią temperaturę, to są zielone zaraz na drugi dzień. Były takie wypadki.

To była cholernie żmudna praca, a jednocześnie, jak to bywa w Polsce, [zdarzały się] absurdy. Na przykład jest ta nowa inwestycja. Przychodzi na zakład dokumentacja, która jest opracowana przez siwych, starszych inżynierów, takich jeszcze przedwojennych. Ale w tym czasie w Polsce jest hasło: „Szukajmy powierzchni produkcyjnych” I my, żółtodzioby na zakładach pracy, bo to działo się nie tylko u nas w tym konkretnym przypadku, ale w całej Polsce, w dokumentacji sporządzonej przez biura projektów szukamy możliwości zamiany powierzchni socjalnych na powierzchnie produkcyjne. To się nie nazywa tak wprost. Zamienia się powierzchnie niezagospodarowane na powierzchnie produkcyjne. A co to są powierzchnie niezagospodarowane? Korytarze, pokoje wypoczynku, ubikacje, łazienki. Więc socjalne też.

My teraz zmniejszamy to wszystko, nie patrzemy na normy państwowe, a przecież każda rzecz zgodnie z dokumentacją ma normę. Nawet [toalety], ile ma być oczek, ile ma być umywalek, ile ma być, na ile kobiet, a ile na ilu mężczyzn. A my to

przerabiamy na pomieszczenia produkcyjne. I otrzymujemy za to premie. A potem są te lata [19]67 i kolejne, gdzie wszyscy krzyczą, że nie ma pomieszczeń socjalnych, że nie ma ciepłej wody dla załogi, że oni się nie mają gdzie myć i tak dalej. To były skutki tamtego zielonego światła. Zresztą potem przerabialiśmy to wszystko w drugą stronę. Tak to było.

A jeszcze taka znamienita sprawa. Ja na tym starym zakładzie borykam się z ciepłem, bo mam jeszcze stare carskie, przedwojenne walczaki. Takie, powiedzmy, piece, które produkują ciepłą wodę i parę, a przede wszystkim parę. Kotły rzeczywiście jeszcze pamiętające cara. I dla tego starego zakładu jest za mało ciepła, trzeba prawie dwa razy tyle. A tu się buduje pawilon, który sam będzie zużywał trzy razy tyle ciepła. Ja, jako główny mechanik jeszcze w tym czasie nie odpowiadałem za inwestycje. Obchodziły mnie te zakłady, które już były w ruchu, a na naradach inwestycyjnych byłem tylko wolnym słuchaczem, bo kiedyś miałbym przejmować te inwestycje. [Naradę] nadzoruje minister, prowadzi towarzysz z Komitetu Wojewódzkiego, który jest ekonomistą od tych spraw, jest sekretarz komitetu powiatowego i tak dalej, partyjna obsada, wszystko osoby bardzo ważne, już nie mówiąc o fachowcach, którzy tam są, jak dyrektor Zjednoczenia Budowlanego. Jest protokołowana narada, padają terminy, harmonogramy, ale nikt nie mówi o tym, skąd oni to ciepło wezmą. A ja tego słucham.

W pewnym momencie na którejś z kolei naradzie wstaję i mówię, że chciałem zapytać o to, co będzie z dopływem czynników grzewczych i wody? Cisza się zrobiła, ale po pewnym czasie popatrzyli na mnie, jak na małe piwo i poszli dalej. I dalej sobie prowadzą tę naradę. Mnie cholera wzięła, ale co przecież głową ściany nie przebiję. Jest następna narada, ja znów twardo stoję, ale wtedy jeszcze byłem drobny, bo ważyłem pięćdziesiąt parę kilogramów, młody łepek. I wtedy właśnie, za co jestem mu wdzięczny, ten sekretarz ekonomiczny Komitetu Wojewódzkiego, Pec się nazywał, siedział w prezydium, a ja tam gdzieś na sali w kącie, mówi: „Chwileczkę, zauważyłem, że ten młody człowiek już drugi raz pyta, co jest z kotłownią, co jest z dostawą ciepła do tej inwestycji. Czy ktoś na tej sali może mi odpowiedzieć” Nikt, cisza. Projektanci z Warszawy, bo projektanci byli z innego biura, siwi panowie zatrzęśli się, mówią, że inwestor obiecał, że ciepło zapewni. Kto go tam zapewniał, cholera wie. To pytają w takim razie dyrektora zakładu. Dyrektor nie wie. Więc skąd będzie ciepło? Jaka się zrobiła awantura! Boże drogi, jak się ten minister wściekł. W abcugach biuro projektów nową kotłownię projektowało.

I wymyślili, że prowizorycznie ustawi się dwie lokomotywy. Najpierw jedną, potem dwie lokomotywy. Lokomotywa ma to do siebie, że ona bardzo szybko robi ciśnienie, ale w niewielkich ilościach jest tej pary. A tutaj o tę parę głównie chodzi. Jak nastawi się autoklaw z konserwami, który ma prawie kilkaset litrów, to pięć takich lokomotyw nie nadąży, bo to jest tylko momentalne uderzenie pary, a na tym rzecz polega, że żeby zagotować mięso, to trzeba czasem, żeby to uderzenie temperatury było. Boże, ileż ja miałem kłopotów z tym, już nie mówiąc o tym, że wszędzie pod każdym

względem była nieuczciwość. Bo to jest ciśnieniowe i niebezpieczne urządzenie i, owszem, tu jest takie uderzenie, ale przede wszystkim to jest dozowane przez zbiorniki i dlatego musi być pod stałą kontrolą UDT, czyli Urzędu Dozoru Technicznego.

Ale kolej to było państwo w państwie. Mieli i swoją policję, i swój dozór. Do tego pijak w pijaka. I to oni niby prowadzili ten dozór. Tam jest takie urządzenie, że w palenisku, gdzie płonie ogień i na tym jest woda, jest kilka otworów, tak zwanych korków. Te korki są zalane pewną ilością ołowiu. I to stempluje Urząd Dozoru Technicznego, bo bierze odpowiedzialność za ten ołów, który ma specjalny skład. Na czym to polega? Jeżeli trzeba szybko zrobić parę, to wody w tym zbiorniku jest niewielka ilość, a ogień duży. Ona oczywiście docieka, ale jeżeli ja zaśpię i wody nie dopuszczę, to jak tej wody ubędzie, to może się zrobić takie ciśnienie, że mi rozerwie kocioł. Żeby do tego nie doszło, to jest właśnie taki korek, bo jak wody będzie mało, to tak się nagrzeje ten korek, że przetopi ołów. Wtedy robi się otwór i reszta tej wody zalewa palenisko. A w związku z tym obniża temperaturę paleniska i jednocześnie obniża ciśnienie w zbiorniku, czyli ma jak gdyby dwa działania. Tylko potem, żeby ten korek z powrotem zalać, to musi być ten dozór techniczny, protokoły. Ja, żeby go ściągnąć, to musiałem od dyrektora szynkę załatwić i jeszcze pół litra mu za swoje pieniądze postawić, żeby szybko przyjechał, bo tu przecież awaria, zakład stoi, wypadek nadzwyczajny.

Aż potem któregoś tam wieczoru tak sobie myślę –jaki to wypadek nadzwyczajny? U nich, jak się tak stanie, to lokomotywa i pociąg stoi na torach, gdzieś tam między miastami i wtedy to jest awaria. Ale u mnie w zakładzie, gdzie lokomotywy i tak stoją to, co to jest za awaria? Oni mnie nabierali po prostu. Pojechałem na rozmowę i mówię, że mają szczęście, że ja jestem dobry człowiek, bo powinienem ich do prokuratora podać, więc niech zwiewają mi z zakładu i niech więcej ich noga tu nie postanie nawet. Sam sobie te korki zalewałem. Sam sobie mogłem to zrobić i jeszcze na zapas sobie tych korków ponalewać, że jak mi jeden wysadzi, to biorę następny. Bo faktycznie, jak mu zablokuje tory, to robi katastrofę na pół Polski, a tutaj to co? Przyznali do tego potem, te pijaczyny, a ja już miałem o tyle lepiej, że nie byłem od nich zależny. A jest jeszcze dodatkowa trudność, to tory wojskowe, na których miała stanąć ta lokomotywa. Za tymi zakładami była jednostka wojskowa, ale te tory wojskowe, jako [droga] awaryjna musiały być zawsze drożne, bo a nuż wojna, wiadomo, jak to z wojskiem jest. Te lokomotywy musiały być ustawione przynajmniej o pięć metrów od tego toru. Trzeba narzucić ziemi spychaczem i wszystko tam ustawić, ale jak przerzucić lokomotywę z tego toru na tor równoległy? Dźwigiem. Ile to jest ton, taka lokomotywa, taka dość duża, z tych nowoczesnych lokomotyw? Robię rozeznanie, okazuje się, że jest jeden dźwig o tym tonażu w Polsce, ale jest używany w całej Polsce przy takich pracach według rocznego harmonogramu, nie ma luki, żeby gdzieś się tam wcisnąć, żeby przyjechał do Zamościa. A tu trzeba na już, bo te lokomotywy mają pracować dla zakładu.

Ale był taki stary kolejarz, już na rencie, on smarował te rozjazdy, bo na zakładzie

mieliśmy też tory kolejowe, bo tam przecież tych transportów było mnóstwo. I on, ten staruszek smarował nam te wajchy. Gdzieś to usłyszał, przychodzi do mnie, ja już chyba wtedy byłem dyrektorem do spraw technicznych, i mówi, że oni to zrobią, tylko, żebym im załatwił pięć tysięcy z funduszu. Co to było pięć tysięcy, to prawie dwie moje pensje, ale za dźwig byśmy zapłacili 10 albo 20 tych pensji. Myślę, jak on ten staruszek mi przestawi lokomotywy o pięć metrów w bok, ale jak człowiek nie ma wyjścia, to co ma robić. Idę do dyrektora, żeby on z kolei przygotował głównego księgowego, żeby z funduszu zapłacić tym ludziom. I przychodzi czterech staruszków, takich samych, jak on z takimi tylko drążkami metalowymi. Ja wszystkie materiały miałem, więc oni montują podkład i jeden odcinek szyn –on ma w granicach osiemnastu, czy iluś tam metrów. I oni tak równolegle do tego toru odkładają taki kawałek toru, jak na lokomotywę tylko. Potem w pewnym momencie te wojskowe tory rozpinają i na podkładach tymi drążkami tak podnoszą cały ten zestaw, że on się odsuwa, wywija, bo na takiej długości te szyny jednak się wyginają. Tak, że oni po prostu z tymi podkładami, z tymi szynami ten wojskowy rozpięty tor podpięli z tamtej strony. Jak to wszystko zrobili, to potem znów przesunęli, spięli to.

Przyszła lokomotywa, przepchnęli ją na prostą, drążkami podsunęli, spięli z tym kawałkiem toru. Jak tymi swoimi drążkami tę lokomotywę pod kołami wzięli, to ona szła po tych torach. Po centymetrze, po centymetrze. Za dzień czasu przestawili –stała z boku lokomotywa. Jak to trzeba mieć doświadczenie! Czterech dziadków przesunęło mi lokomotywę. Dla mnie to prawie było niemożliwe, jak oni to zrobią. A oni sposobem umieli to załatwić. Ale wracam do warunków pracy. Ciągle potem to się nam odbijało, ta nasza racjonalizacja, bo przecież ci ludzie rzeczywiście, a tym bardziej w takim przemyśle, jakim jest przemysł mięsny, musieli się myć, kąpać. I po jakimś czasie trzeba było z powrotem kombinować, dostawiać, przerabiać tak, żeby ludzie mieli warunki, bo zaczęli się znów skarżyć i znów udowadniać, że norma nie taka, że BHP i tak dalej.

To była według mnie najgorsza praca. Powiedziałem, że w życiu nie będę pracował w przemyśle chemicznym, ani, mięsny. Przedostatni dyrektor, z jakim pracowałem, przyszedł z prokuratury generalnej z Warszawy, żeby uzdrowić te sprawy organizacyjne i prawne zakładu. To był młody człowiek, w tym czasie się gdzieś tam rozchodził z żoną, więc skorzystał z okazji i tu przyszedł. Był tylko dwa lata, ale rzeczywiście tak pod względem prawnym ustawił wszystko. Tylko oczywiście na mięsie się nie znał. Początkowo żeśmy źle żyli, ale na odjeźdźnym powiedział: „Słuchaj, jedynie tobie wierzę teraz. Mam za zadanie zostawić tutaj dyrektora, dopiero wtedy odejdę. Chcę, żebyś został dyrektorem” Ja podziękowałem, mówię, że to nie dla mnie ja przecież nie jestem mięsiarzem i jako inżynier mechanik będę zawsze dla załogi obcy. Bo dyrektor tutaj musi się na mięsie znać przede wszystkim, ja się znam na technice.

Gdyby to był zakład metalowy, to ja z pocałowaniem ręki bym tu został, ale to to nie jest dla mnie kariera. On początkowo mi nie wierzył. Nota bene on daleko zaszedł, bo

on w końcówce był dyrektorem w gabinecie Jaruzelskiego. Szefem gabinetu, takim szefem nad wszystkimi był generał Jakubowski, prawa ręka Jaruzelskiego, a ten był dyrektorem. Jego zadaniem było przygotowywanie korespondencji Jaruzelskiemu. Przeglądał całą korespondencję przychodzącą, jeśli była tajnego przeznaczenia, to tego nie otwierał, tylko oddawał. Ale jeśli przychodziła inna korespondencja, to decydował, którą jednak dobrze byłoby, żeby towarzysz generał zajął się osobiście, a którą pan generał bezpośrednio nie musiał się zajmować i jaki dyrektor mógł to zrobić za niego. Robił mu takie notatki, krótkie streszczenia pewnych listów i tak dalej. I znów wtedy nagabywał: „Przyjeżdżasz do Warszawy i załatwiam ci stanowisko” Ja mówiłem, że Warszawa mnie zgnębi. Z Zamościa piętnaście minut i jestem na Roztoczu, nad Bugiem, mam świeże powietrze. A w tej Warszawie, co będę się żart tu ze wszystkimi? Jak szedłem do niego, bo zaprosił mnie wtedy do tej rady ministrów, a że ja byłem w mundurze, wtedy jeszcze chyba podpułkownika, chociaż ja byłem taki trochę oszukany wojskowy, to te warty wojskowe, to wojsko stawało na baczność. A ja nie lubiłem tych wszystkich wojskowych manier, parad wojskowych. Powiedziałem, że spotkać się możemy wszędzie, tylko już nie u niego w biurze.

17. Funkcjonowanie Zakładów Mięsnych w Zamościu

Według mnie początkowo w zakładzie to była może setka [pracowników] w ogóle, a jak odchodziłem to około tysiąca. Cały teren tej [galerii handlowej] Twierdza z tym sławetnym kominem, który tu stoi, to wszystko były zakłady mięsne. A komin też ma swoją historię. W zakładach mięsnych został mój kolega, który był [dyrektorem] do spraw technicznych, a potem nawet naczelnym. Uchodził za inżyniera, tylko nie miał dyplomu. Był chłodnikiem z wykształcenia. Miał zdaje się świadectwo ukończenia studiów, ale dyplomu nie chciało mu się zrobić. Poszedł do pracy, tak mu dobrze było, zakochał się i już nie wrócił na uczelnię.

Wtedy nie budowało się już kominów cementowych, ale z kolei kilka blaszanych kominów w Zamościu się zawaliło. One mają to do siebie, że ten żwir, który wychodzi ze spalin wyciera tę blachę w środku tak, że z kilku milimetrów to robi się taka cieniutka warstewka, że kominy się łamią przy podmuchu. Trzeba tego pilnować i trzeba je sprawdzać. Mówię do tego kolegi: „Kaziu, czegoś ty budujesz teraz takiego cemenciaka” A on mówi, że to, dlatego, żeby jego [syn] Mirek nie musiał się martwić, że mu się komin zawali. Chciał to swoje miejsce w zakładzie, taką schedę zostawić synowi, który akurat kończył politechnikę. I tak się stało, że ten komin nigdy nie zadymił, bo w międzyczasie Zakłady Mięsne padły. On umarł, Mirek umarł, a komin stoi nieużywany. Wykupiła go jakaś kobieta i wykorzystuje, [jako maszt] dla stacji telewizyjnych i chyba komórkowych. I podobno nieźle na tym zarabia. Z tego wszystkiego ma tylko taki wycinek placu wykupiony, kawałek ziemi z tym kominem i podobno ma spory dochód z tego. A komin, dziewiczy. Dym z niego nigdy nie poszedł. Od przed wojny tu była ubojnia i masarnia, ale raczej typu takiego dobrego rzemieślnika, masarza, a nie zakładu przemysłowego. Tym zakładem przemysłowym

zaczęła się robić przy rozbudowie, kiedy przyszła chłodnia z prawdziwego zdarzenia, porządnie zaprojektowana z basenami chłodniczymi na zewnątrz. Przyszły potem nowa kotłownia, konserwiarnia i cała hala uboju.

Taka znów ciekawostka, jak to się robiło i projektowało. Stara ubojnia była to taki budynek podłużny i dość długi, taka hala, gdzie te zwierzaki wchodziły, zanim się je zabiło, potem opatrzyło, wnętrzności rozebrało, podzieliło na te tak zwane półtusze i przekazało do magazynu. Do tego dobudowano tę nową część, gdzie były rozbiory, potem hala chłodnicza, na dole maszynownia chłodnicza i te wszystkie urządzenia chłodnicze. I oczywiście cała baza transportowa. I znów następna zagadka. Wszystko się ładnie buduje, stary zakład tej ubojni, który styka się ze ścianą nowego budynku już dwupiętrowego ma mieć z nim technologiczne połączenie. Bo te półtusze mają zawieszane wjeżdżać taką kolejkę podwieszoną do tamtej hali. Jest chyba ze dwa, czy trzy miesiące do oddania tego budynku, a ja się zapytałem, czy ktoś się zastanowił, jakie poziomy są między starą halą a nową? Nikt nie wie. Pytają projektantów, jak projektowali? A oni wyszli z poziomu torów kolejowych. Bo tory kolejowe muszą mieć jakąś normę, wymaganą wysokość do rampy. To jak rampa ma tę wymaganą wysokość i tu parter się zaczyna, to pierwsze i drugie piętro jest zgodnie z normą. Ale nikt nie sprawdził, jak się to ma do poziomu tamtej hali. W ostatniej chwili rozbijamy otwór, ściana lita, bo to przecież osobny budynek, trzeba się przebić. A co będzie, jak tam ta posadzka będzie pod sufitem? Bo może tak być. Okazało się, że była. Te posadzki się nie zgadzały. I trzeba było w abcugach i już bez biura projektów zrobić podnośniki w tej luce, żeby złapać poziom. To była makabra, to były takie rzeczy, że się w głowie nie mieści. Pośpiech, brak koordynacji wynikające z nieprzygotowania ludzi, którzy kierowali niektórymi sprawami.

To dobrze, że nam się udawało, ale to nie powinno tak być, każdy bardziej [red. fachowy] człowiek musi przewidywać takie rzeczy. Już nie mówiąc o kolejnej sytuacji. Przerabiali halę ubojni, bo stare lampy już nie odpowiadały normom, a przede wszystkim hala była niewentylowana, trzeba było wentylatory ustawić. Więc trzeba było w stropach powybijać otwory na wentylatory. Ale na dole już zawiesili potężne hermetyczne lampy, olbrzymie, zakręcane na uszczelkę. Elektrycy pozawieszali lampy, już prawie zrobili próbę światła, a tu przyjeżdża ekipa od wentylatorów. Zaczynają kuć jeden otwór –leci lampa! Bo w tym miejscu, co lampa, to oni zaprojektowali otwory na wentylatory. Tak były niezgrane biura. Jedno biuro robiło elektrykę, drugie, robiło wentylację, różne były te podziały.

I to wszystko działo się na moich oczach. I przez to wszystko trzeba było przebrnąć. A jeszcze do tego wódka. Ta wódka była nie tylko u robotników na dole. Ona także była wśród kierownictwa. Przyjeżdża do mnie jakaś kontrola BHP, czy inspektor pracy. No i mój technik inwestycyjny taki przedwojenny, starej daty trochę pan, szykuje się. On zna już tych swoich kontrolerów, a ja pierwszy raz mam ich przyjmować. I on tak chodzi, chodzi i mówi, że trzeba by ich jakoś przyjąć. Ja byłem harcerzem, sportowcem to z tą wódką było u mnie kiepsko. Na Świdniku się wódki

nie piło, a i na tych spotkaniach towarzyskich poza pracą też nie piliśmy. Może trochę wina, ale nie wódki, w wódce żeśmy nie gustowali.

Wtedy nie było sklepów wszędzie, jak teraz, tylko wszystko było na starówce. Miałem motocykl, mówię, że pojedę i kupię pół litra. On na to, że pół litra to za mało, trzeba by litr, a jak nie wypijemy, to przecież zostanie na zimę. Piło i kierownictwo, i przełożeni. Wódka była przy każdej okazji. Wódkę się piło państwowo, że tak powiem. Taki był obyczaj. Trzeba było przy każdej uroczystości, czy to było 1-szy Maja, czy tam 22-go Lipca, czy inna jakaś okazja, to się piło. Była taka inwestycja, jak to się mówiło, w teczce premiera Cyrankiewicza. Szły potężne ilości szynki na eksport do Stanów Zjednoczonych. Przecież wszystkie te słynne szynki były produkowane w Zakładach Mięsnych w Zamościu, największy eksport stąd szedł. Zresztą nie tylko Stany Zjednoczone, bo dla Bundeswehry szły świetnej, jakości konserwy. Jak przyjechali przedstawiciele Bundeswehry do nas, do zakładu podpisać kolejną umowę, chociaż to i tak centralny zarząd robił, a myśmy może tylko coś parafowaliśmy, to ciągle pytali, jak nasze zarobki, na jakim procencie jesteśmy. Mówiliśmy, że nie jesteśmy na procencie, tylko na pensjach. Na jakich pensjach? Oni nie rozumieli, że my jakieś zwykłe pensje mamy, a nie procent od dochodu zakładu. Na koniec nam dali swoje wizytówki, żebyśmy ich odwiedzili w RFN-ie. Powiedzieliśmy: „Tak, przyjedziemy” I tyle. Takie to były czasy. Taka, to była taka dziwna sytuacja.

Dyrektor na zakładzie był w zasadzie takim przedstawicielem rządu. I partii. Ale obojętnie, czy on był partyjny, czy nie, to był zawsze przedstawicielem. Partia hołubiła klasę robotniczą, ale broń boże, jak dyrektor był uznawany przez klasę robotniczą. Dyrektor musiał być skonfliktowany z klasą robotniczą. Dyrektor, którego na przykład chciano usunąć z zakładu i wstawiła się za nim załoga, to dostawał wilczy bilet, już było po nim, on już w innym zakładzie nie mógł być dyrektorem. To była dziwna, jakby podwójna działalność. Z jednej strony, jeżeli było jakieś nieszczęście, to nie załoga, była winna, tylko winien był dyrektor. Za strajk był także winien dyrektor. Nie klasa robotnicza, tylko dyrektor.

Dlaczego mógł być strajk? Dyrektor nie umie z załogą żyć. Ale jak ten dyrektor jest dobry dla załogi, to też jest źle, bo coś kombinują i już jest niebezpieczny. Takie to były czasy. Ja tam przeżyłem chyba czterech dyrektorów. Ten pierwszy naraził się właśnie na takiej naradzie produkcyjnej z udziałem ministra. Mieliśmy potem wspólny obiad, bo to się zawsze tym kończyło, a na zakładzie wyżera była zawsze dobra. Zresztą mieliśmy kucharki specjalnie tylko po to, żeby gotowały, czy przyrządzały różne smakołyki. I już mamy iść na obiad, minister przemysłu spożywczego, nie chcę używać nazwisk, myje ręce, szykuje się na obiad. Ten dyrektor to było takie chłopisko duże, a minister był nieduży, niższego wzrostu, niż ja. Dyrektor tak pochylił się do niego i mówi: „Towarzyszu ministrze, a ja to w te harmonogramy wszystkie cośmy tu spisali, nie wierzę” Tak mu powiedział po tej całej naradzie cośmy pół dnia siedzieli. Jak ten minister się wkurzył, mówi do dyrektora: „To ja tu przyjeżdżam, denerwuje

się, męczę się, spisuję, ustalamy terminy, a pan mi mówi, że pan nie wierzy w te ustalone terminy. To pana czynię odpowiedzialnym za te terminy” Obiadu nie jadł, siadł w samochód i z całą tą swoją czeredą pojechał. A dyrektora zdjęli. Zdjęli go. Kolejny tylko na dwa lata przyszedł i też poszedł. Tak, że to różnie tam bywało, różne tam działały się sprawy.

Data i miejsce nagrania	2018-11-28, Zamość
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"